

CZŁOWIEK BEZ JUTRA.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Jana Zacharyasiewicza.

(Ciąg dalszy)

X.

Sielanka.

Była niedziela. Dzień był pogodny, lipcowy. Z małego kościołka, który stał nad brzegiem lasu wyroił się lud i rozmaitemi ścieżkami rozlał się po całej dolinie.

Byłaż to dolina rokoszna! Z jednej strony piętrzyło się wzgórze, sosnowym lasem okryte, a z drugiej toczyła się biała rzeka, nad brzegami której wznosiły się zagrody wieśniacze jak stado owiec pijących wodę. A w dali błękitniały dalsze smugi widoku, ale były już tak niewyraźne, że można je było wziąć za dalekie chmury, powstające za krańcem widnokregu.

W samym środku doliny, między kościołkiem a zagrodami przysiadł do ziemi niski dworek z wyskakującym na rzekę gankiem, otoczony lipami, z pomiędzy których bieleły się dwa gołębniki. Na śpichlerzu krytym słomą osadził sobie bocian gniazdo nader misternie, zbudowawszy je jak



fortecę niezdobytą. Za gniazdem bocianiem wznosiły się karłowate wierchołki drzew owocowych i okrężały prawie wszystkie budynki gospodarskie.

Patrząc od kościołka, na ten dworek i zagrody z ogrodami, na te gniazdko bocianie i rzeczulkę srebrną, a słysząc przytem srebrny dźwięk muszek lipcowych i przytłumiony brzęk pszczołek, które z pobliskiej pasieki na paszę wylatywały; zdawało się, że ta dolinka dla człowieka może się stać całym światem, że w niej żyć i umierać można, tak samo jak Francuzi o swoim „*Palais-royal*” mówią, że można w nim pięćdziesiąt lat mieszkać nie widząc wcale Paryża i nie pragnąc go!

Kiedy ludek pobożny z kościołka już się wyroił, gdy jedni po ścieżkach się rozeszli a inni w rozrzuconych grupach na cmentarzu jeszcze stali; wyszedł przez małe drzwi od zakrystyi sędziwy jegomość w szarój kapotce, prowadząc pod rękę młodą w białą sukienkę ubraną panienkę, mającą lat kilkanaście.

— Tatuńcio zapewne zaczeka tutaj na proboszcza — ozwała się panienka — a ja tym czasem pogadam z Borysową, która ot tam pod lipą stoi. Wczoraj zasłabło jój dziecię.

— Dobrze Zosieczko — odpowiedział sędziwy jegomość i wypuścił małą rączkę z pod pachy.

Zosia pobiegła do Borysowej i zaczęła ją wypytywać o Staszka.

Było to dziecię bardzo miłe. Mogło mieć najwięcej roczek siedemnasty. Twarz miała gładką i blado-różową jak poziomka, oczy niebieskie, a włosy ciemne w długich puklach rozpuszczone. Usteczka nie były podobne do koralu, ale do bladój, zaledwie rozkwitłej różyczki. Wzrost więcćj mały niż średni i elastyczność całej postaci nadawały jój podobieństwo do chochlika.

Tymczasem z zakrystyi wyszedł proboszcz w długiej sutannie, strzepał tabaczkę z piersi, która była dosyć wysoko przez niższe zasoby podniesiona i rzekł do dziedzica:

— Więc mówisz szanowny kolatorze, że *post ecclesiam malvasiam!*

— Tak się należy dobrodzieju. *Antiquo more!* Mał-mazyi nie ma, ale miodek za to nieszpety!

Proboszcz powiedział jeszcze coś na pochwałę miodku, obtarł sobie usta z oskomy i obaj puścili się ścieżką ku białemu dworowi.

Tymczasem Zosia załatwiła sprawę z Borysową i ucieczona że jej faworyt już zdrów był, zbiegła drobną nóżką po ścieszcze z góry i dopędziła ojca z proboszczem.

Proboszcz spojrzał jakoś filuternie na Zosię, aż raczka spiekła, a potem ozwał się:

— I cóż dzisiaj będzie panno Zofio? Czy może przeczuwa co to serduszko?

— Cóżby miało przeczuwać?—odpowiedziała Zofia—to co zawsze w ten dzień!

— Przepraszam panią! Dzisiaj jest św. Zofii z trzema córkami!

— Jużesmy o tém rano mówili księżu dobrodzieju!

— Ale o to mi chodzi, że ten dzień nie zawsze przynosi jedno i to samo, bo wreszcie sam tatuńcio przyznaje iż toby się sprzykrzyło! Pierwsze dni św. Zofii z trzema córkami, przynosiły cukierki i lalki, następne ołówki, farby i pendzliki, potem książeczki, drobne stroiki i t. d., a dzisiaj co będzie? Aha! Już jest raczek! No to dobrze! Dzisiaj św. Zofia przyniosła... raczka!

Zosia naprawdę raczka spiekła, bo ksiądz proboszcz w nią wmówił. Cóż było robić?

— Raczka upiekłam, to prawda,—odpowiedziała—ale sama nie wiem dlaczego! Od dwóch tygodni wiedziałam już naprzód o wszystkich niespodziankach, jakie mnie dzisiaj spotkać miały. Tatuńcio najlepiej zrobił: podał mi próbki różnych materyi, które ze Lwowa przyszły i powiedział mi abym sobie co z nich wybrała na niespodziankę!... Ciocia chciała tę rzecz lepiej poprowadzić, bo nic mi nie powiedziała; ale zapytanie jej, które buciki są mi najwygodniejsze, zaraz wszystko zdradziło. Malwina znowu pisała do cioci, w jakim kolorze kapelusze lubię, a ciocia zostawiła ten list na mojem biurku, który oczywiście według wszelkiego prawa przeczytać musiałam! I tak dalej...i tak dalej... dowiedziałam się o wszystkiém!... A dzieci ze wsi, które wraz z nauczycielem miały mi na niespodziankę kantatę jakąś odśpiewać; musiałam sama uczyć téj kantaty, bo nau-

czyciel nie miał fortepianu i rady sobie dać nie mógł!... Otóż takie to wszystkie niespodzianki w mojem życiu!

Ostatnie słowa wymówiła Zosia tak tragicznie, że ojciec się rozśmiał na całe gardło, w czém mu barytonem proboszcz zawtórował, aż bocian w gnieździe zaklekotał!

— Smutne to twoje życie, moja Zosiu—rzekł ojciec ocierając łzy ze śmiechu—sama próżnia i jednostajność! Żadnej zmiany, żadnej niespodzianki!... Biedne dziecko!

Rzekłszy to ucałował ją w czoło i znowu zaczął się śmiać, śmiać do rozpuku.

— Nie rozumiem tatuńcia dzisiaj!—ozwała się Zosia z małym kaprysykiem na czole—czy powiedziałam jaką niedorzeczność, że się tatuńcio tak serdecznie śmieje?

— Daruj mi dziecko—rzekł ojciec—jeżeli na twoje imieniny się nie uśmieję, to kiedyż śmiać się będę. Gdy twoje życie będzie tyle lat liczyć co moje, to nie będziesz gniewać się wtedy na śmiech, który jest jak wyblýsk chwilowej pogody wśród ciągłej słoty!

— Ale jeszcze wszystkiego o niespodziankach nie wyczerpaliśmy!—zauważył proboszcz.

— Prawda, jeszcze nie odebraliśmy listów z poczty—dodał ojciec.

— Tam już żadnych niespodzianek nie będzie!—odparła Zosia—znam wszystkie listy, które nadejdą z powinszowaniem. Od Milki, Mińci, Salci i Maryi; dalej od Genci, Kostusi i Binci, od p. Pafnucego, Jerzego, Karola i Edmunda, od stryjów, wujów: zgłę, wszystkie listy z powinszowaniami mogę wyliczyć!

— Obaczymy, obaczymy—odpowiedział ojciec—a teraz Zosiu pomyśl o śniadanku, bo proboszcza twoje listy pewnie nie nakarmią!

Wszyscy zbliżyli się teraz do ganku. Pan Maciej z proboszczem usiedli na ławie, a Zosia pobiegła tymczasem, aby rozkaz ojca wypełnić.

— Panna Zofia ma dzisiaj lat siedemnaście—zagadnął proboszcz zażywając tabaczkę.

— Nie wspominaj mi o tém dobrodzieju!—odpowiedział Maciej—bo strach mię bierze gdy sobie pomyślę, że niezadługo trzeba będzie ją utracić, a Bóg wie jeszcze kto mi ją weźmie!

— Przecież przemocą nikt panu nie wydrze! Pocóż się darmo obawiać!

— Są różne rodzaje przemocy! A przyznam się do-
brodziejowi, że od dzisiejszej młodzieży to aż mnie strach
bierze! Nie wiem co się z tą młodzieżą dzieje, ale wszystko
to takie jakieś stare, wyżyte, bez kropli poezji w duszy!
Każdy mówi, jakby Bóg wie jakie doświadczenia miał w ży-
ciu, jakby w tém życiu już nic nie było dla niego nowego,
a fundamentem wszystkiego — pieniądź! Dobra to rzecz
pieniądz, ale gdzie pieniądź jest wszystkim, tam człowiek
trupem!....

— Prawda, prawda! Boga nie ma! Miłości świata
nie ma! Sceptycyzm!

— Przyznam się, że czasem nachodzi mnie myśl dzi-
wna. Czyby nie było lepiej, gdyby Zosia posagu nie miała?

— To już czarna melancholia dobrodziej! Boga nie
trzeba obrażać!

— Gdyby przynajmniej matka jój żyła! Matki mają
jakoś lepsze instynkta!

W sam czas pojawiła się Zosia na progu, bo na twarzy
ojca zaczął już rozpościerać się głęboki smutek na wspo-
mnienie żony. Śniadanko było już gotowe.

Wszyscy weszli do pokoju.

Po kieliszku starci zasiedli obaj do stołu. Boże dary,
smacznie przez kucharza przyprawione, rozweseliły pana Ma-
cieja, do czego także przypowiadki proboszcza się przy-
czyniły.

Po godzinie byli wszyscy zdrowi i weseli a nawet i Zo-
sia lekki rumieniec na twarzy dostała.

— Teraz będziemy czytali niespodzianki!—zawołał
proboszcz—bo właśnie w tej chwili przyszedł posłaniec
z poczty i dobrze wypakowaną torbę złożył na stole.

Pan Maciej chwycił za gazety, proboszcz za pisma li-
terackie, a gruby pęk listów dostał się Zosi, która drobnymi
paluszkami prędko je przerzucała.

— Ten od Mani, ten od Binci, ten od stryjeni, tamten
od wuja....—szczebiotała z rozkosznym uśmiechem, czytając
adresy.

Potém zaczęła jeden po drugim otwierać. W saméj
rzeczy oko nie omyliło jój. Wszystkie listy były od wymie-

nionych osób. Nawet mężkie listy poznawała z charakteru pisma.

Powinszowania mężczyzn były dosyć charakterystyczne. Jedne miały tylko zwykłe karty wizytowe, inne, mianowicie z prowincyi, były wyłaczane i z girlandami!

Pomiędzy niemi zabłąkał się także *anonim*, który wiersem opiewał wdzięki solenizantki. Ale zaraz przy drugiej zwrotce poznała Zosia starego pułkownika, który i w poezyi nie mógł się pozbyć swego „mospanku” rymując go z „kochanku!”

Zosia odczytała odę i radość z niej była powszechna.

— A jeszcze jeden list zostawiłaś!—zawołał ojciec.

— To od Edwarda! Zaraz odczytam go!

— Czy pan Edward ożenił się?—zapytał proboszcz gospodarza—miał się we Lwowie żenić!

— Gdzież tam—odparł gospodarz—taki jak inni! Polwarczek obdłużony wyżej wartości, i zamiast wziąć sobie jaką gospodarną dziewczynę i pracować z oszczędnością, on traci pożyczony grosz na konie i lokaje i poluje za wielkim posagiem! Żal mi go!...

— Cóż tam panna Zofia tak się wpatruje w ten list pana Edwarda?—zapytał proboszcz.

— Bo tu jest fotografia!

— Fotografia? Co za fotografia?—zapytał ojciec.

— Fotografia Edwarda!

— Czyś go nie widziała, że tak mu się przypatrujesz?

— Nie, tatuńciu bo tu tu jest ich dwóch na fotografii razem!

— Dwóch? ... Któż taki? ... Pokaż dziecię!

— A co, czy to nie jest niespodzianka?—zauważył z uśmiechem ksiądz proboszcz.

Zofia zarumieniała się lekko i spuściła oczy na list, który do téj fotografii był dołączony.

Tymczasem obejrzeni wszyscy fotografią, która przedstawiała dwóch młodych ludzi, siedzących obok siebie z cygarami w ręku.

— Zapewne jakiś znajomy jego!—zauważył pan Maciej—obaj kazali się fotografować.

Na odwrotną stronę było napisano: „Posyłam ci, kochana kuzynko, przyobiecana fotografię; ponieważ jednak innych egzemplarzy nie mam, to przyjmij ten, na którym jestem z moim dobrym przyjacielem! Z powinszowaniem imienin!”

— Przystojny mężczyzna, ten przyjaciel Edwarda!— zauważył proboszcz.

— Rozumna twarz!—dorzucił pan Maciej.

— A to list Edwarda do tatuńcia!—ozwała się Zosia i sięgnęła jeszcze raz po fotografię.

Pan Maciej wziął list i zaczął czytać. Edward pisał, że właśnie wybierał się do kochanego stryja, gdy do niego przyjechał przyjaciel i dawny kolega, który poświęca się różnym studjom historycznym a mianowicie archeologii, w którym to celu kraj zwiedza i dawne pomniki zbiera i różne uroczyska i kurhany rozkopuje. Uprzedza więc stryja, że z tymże archeologiem razem dzisiaj przyjedzie i niejaki czas tam zabawią, bo w sąsiedztwie wykryto właśnie ślady grobów pogańskich!...

— Otóż będziemy mieli dzisiaj i archeologa!—ozwał się pan Maciej do córki!

— Wolałabym, żeby był danserem!—z kaprysikiem odpowiedziała Zosia.

— Otóż masz!—zawołał ojciec—słyszysz proboszczu? I masz to dzisiejsza młodzież czegoś pożytecznego się uczyć, jeśli panny tylko danserów chcą z niej mieć?... Moje serce, nauki nie trzeba nigdy lekceważyć, bo społeczeństwo nie stoi tańcem ale pracą i nauką! Ten archeolog więcej wart niżeli legion skoczaków, których rozum jest tylko w nogach!

— Ale tatuńciu! Cóżto za kazanie w dzień św. Zofii z trzema córkami!... Przecież ja tego na seryo nie powiedziałam i przyrzekam, że tylko z tym archeologiem dzisiaj bawić się będę!...

— Obaczmy!—odpowiedział z uśmiechem pan Maciej i trącił kieliszkiem o kieliszek proboszcza.

Zosia patrzyła jeszcze czas niejaki na fotografię. Proboszcz powiedział, że przyjaciel Edwarda jest przystojnym, ojciec dorzucił do tego, że „twarz rozsądna.” Zosia myślała o jednym i o drugim i przyznała w duchu, że obaj mieli słusność. Osobliwie podobała się jęj w przyjacielu Edwar-

da pewna swoboda w całej pozie, chociaż nader starannie był ubrany. Podobni jemu młodzi ludzie z prowincyi nie mieli nigdy w oczach jęj tęg swobody. Jeden trzymał głowę tak sztywno, jakby ciągle o kołnierzyku myślał, drugi podnosił ustawicznie ramiona do góry, jakby chciał się stosować do błędów krawca, który za wysoko dał kołnierz, a trzeci zajęty był guzikami u rękawów koszuli, które ustawicznie wysuwał.

Przyjaciół zaś Edwarda rzucił się na fotel fotografa z taką swobodą, jakby nikt na niego nie patrzył, a przecież była pewna malowniczość w jego pozie, pewna wyższość człowieka nad ubiorem.

Te spostrzeżenia sprawiły miłe na nią wrażenie i postanowiła za najbliższém widzeniem się zapytać Edwarda o tego znajomego. I nie wiedzieć, czy to z umysłu czy z roztargnienia się stało, fotografia nie poszła napowrót do koperty listowej, w której jęj było bardzo dobrze, ale wsunęła się za rąbek białej sukienki, gdzie jęj widocznie było bardzo nie wygodnie.

Po śniadanku zaczęli się zaraz goście zjeżdżać, którzy w tym dniu zwykli dosyć licznie do dworku przybywać, nawet dalsi sąsiedzi a kawalerowie aż z trzeciego powiatu.

Młodzi, którzy idealniejsze mieli pobudki do dzisiejszych odwiedzin, zjeżdżali się pod wieczór, aby przy zmierzchu zastać w domu jakieś poetyczniejsze usposobienie. Starsi jednak brali rzeczy realniój. Dobrego obiadku nie należało pominąć, a dobry obiadek według nich dodawał fundamentu do poezyi na całą resztę dnia, choćby nawet i do północy.

Do tych oczywiście, mimo weny poetyckiej, należał pułkownik dawnego autoramentu. Przyjechał najpierwszy, a nawet gniewał się na niewstrzeżliwość proboszcza, że z śniadankiem na niego nie zaczekano. Udobruchano jednak starego wiarusa jakimś ekwiwalentem za poniesioną stratę, który naprędce piękne rączki Zosi zaimprovizowały.

Humory były jak najlepsze. Na obiadek przybyło kilku innych jeszcze dalszych sąsiadów.

Zosia zarzucona była buketami. Jęj oczy świeciły się jasno, twarz grała kolorami szczęścia.

Obiadek był wyborny, wznoszono różne toasty, a toasty niektóre były tego rodzaju, że Zosia musiała oczy na talerz

spuszczać, aby nikomu nie dać w nich co przeczytać. Do tego jeszcze potrzeba było często rąbka sukienki poprawiać, bo niezdolna fotografia spychała go zawsze z należytych granic.

Obiad skończył się dosyć późno, a po obiedzie zaraz zaczęły się zjeżdżać inne grupy gości.

Młodzież z trzech powiatów była licznie reprezentowaną. Zwiozły ją rozmaite bryczki, wózki i karykle, na co kogo stać było. Każdy chciał się jakoś w strojnieszem pierzu okazać, bo jedynaczka gospodarza, który był bardzo zamożny, warta była tego.

Już się wreszcie zciemniało. Zapalono kandelabry i oświecono nawet ganek dla spóźnionych gości. Zosia kilkakrotnie wyjrzała oknem czy kuzynek z swoim archeologiem nie przybył, ale kuzynka jeszcze ani archeologa nie było.

— Niezdolny! — pomyślała sobie, — bez niego nie mogę ułożyć żadnej zabawy! Obiecałam ojcu, że z archeologiem bawić się będę, a dopóki go nie widzę, nie mogę żadnego programu powziąć, bo nie wiem, czy on ze mną zechce o kwiatkach i gołąbkach moich rozmawiać!.

Tak dumiała sobie Zosia, gdy naraz pod oknami zaturkotało. Wyjrzała: poznała konie Edwarda.

Cofnęła się szybko w środek zgromadzenia, aby ztamtąd z należyłą powagą przywitać nowych gości.

Długo, długo czekała na nich, ale gości nie było. Rozpoczęła gawędkę z panem Romanem, który stał najbliżej, przeciągała ją dosyć długo, z czego pan Roman wiele pochwlebnych rzeczy o sobie wnosił, ale gości nie było.

Nasi goście tymczasem kazali sobie dać pokój w oficynach i przebierali się, aby z całym szykiem wielkomiejskim wystąpić. Zosia czekała niecierpliwie, pan Roman był pewny, że się w nim zakochała.

Wreszcie otworzyły się drzwi. Wszedł najprzód Edward, po nim Stefuś.

Zosia do kuzynka postąpiła krok naprzód; ale wnet zatrzymała się. Twarz jej oblała się szkarłatem.

— Przedstawiam kuzynce mego przyjaciela pana Stefana Tarłę, — ozwał się Edward.

Zosia ukłoniła się z widoczném zakłopotaniem. Twarz jęj pałała ogniem. Rąbek sukienki podnosił się....

Stefuś pogłaskał bakenbardy z nieznacznym uśmiechem.

— Cieszę się, — rzekł z lekkim ukłonem, — że zajęty tak melancholijnemi studjami, jakimi jest rozkopywanie przeszłości, napotkałem na tak radosną chwilę, że mogę dołączyć się do tylu szczęśliwych....

Zosia chciała coś odpowiedzieć, ale słowa poplątały się jęj i skończyła na powtórnym ukłonie.

Tymczasem zwrócił się Stefuś do ojca, potem do proboszcza i pułkownika, wreszcie do młodzieży.

Z wszystkimi przemówił słów kilka nader trafnie. Ko bięty patrzyły na niego z widoczném zajęciem.

Stefuś był dzisiaj ubrany nader skromnie, stosownie do swego nowego zawodu. Nic w nim dzisiaj nie błyszczało, nic się na nim nie świeciło. Odbijał w tym względzie nader korzystnie od młodzieży, która obwieszoną była brelokami, dywizkami i łańcuszkami.

Zgromadzenie jakoś za nadejściem tych gości spowaźniało. Jakiś spokój archeologiczny wiał po całym pokoju. Nawet młode panienki nastroiły się poważnie i pomarszczyły piękne czoła swoje.

Zosia gniewała się na siebie, że nowemu gościowi tak niekorzystnie się zaprezentowała i pytała siebie po raz dziesiąty, dlaczego na jego widok jęj twarz tak nielitościwie spłoneęła!

Wreszcie nadeszła wieczerza. Mimo wszelkiej pokusy, która ciągnęła go do grona panien, wybrał sobie Stefuś mały stoliczek, przy którym gospodarz, proboszcz i pułkownik siedzieli.

Nie uszło jednak jego uwagi, że Zosia dotąd nie usiadła, tylko uważała gdzie on się umieści. Gdy już przy ojcu usiadł, zajęła miejsce przy drugim stole w takiej pozycji, z której na towarzyszy ojca patrzeć mogła.

— Mój panie, — kontynuował dalej rozmowę pan Maciej, — niech mi pan raczy wytłumaczyć, z kąd panu przyszła chęć w tym wieku do tak poważnych studyów, jakimi jest archeologia. Mówi to zawsze na korzyść pańską, przy powszechném dzisiaj usposobieniu młodzieży naszej. Mimoto, zawsze jest uderzającym taki fenomen, dotąd bowiem ludzie

starzy, dla których obecność już niczém była, zwracali się do katakumbów przeszłości i tam wśród pleśni grzebali!

— Słusznie pan dobrodziej mówisz, — odparł Stefuś z powagą, — że tylko ludzie starzy tułali się dotąd po grobach przeszłości. To też odniosło to bardzo zły skutek. Przeszłość w rękach tych ludzi wyszła na świat w całej grozie zniszczenia. Podano nam w ręce szkielety, pogniłe szmaty, rdzę i cuchnące popioły. Ducha, który to wszystko ożywiał, nie schwycono, zostawiono go na dnie katakumb! A podane nam skostniałą ręką resztki przeszłości, groby i pomniki nie przemówiły do nas, jak były powinny przemówić! Otóż w tém zależy dążność dzisiejsza, aby te drogie resztki dobyć na świat ręką młoda, ożywić je ciepłem poezji, która odradza i stworzyć z martwych rzeczy żyjące!

— Ślicznie pan powiedziałeś! — zawołał proboszcz — *spiritus flat!*

— Dążności takie są nader szlachetne! — dorzucił pan Maciej i zamyślił się.

Zosia mimo szczebiotów swoich sąsiadek słyszała każde słówko młodego archeologa i historyka. A rąbek białej sukienki uciskał coraz więcej podnoszącą się pierś białą...

Po wieczery rozpoczęła młodzież tańce. Stateczniejsi przeszli do innych pokoi na cygara.

— Czy pan z nami? — zapytał pan Maciej — czy w kole kwiatków naszych polnych?...

— Oczywiście, oczywiście! *Utile dulci!* — ozwał się proboszcz.

Stefuś przyłączył się do młodszej generacji.

— To mi młody człowiek! — zagadnął w drugim pokoju proboszcz do pana Macieja — może z niego młodzież wzór brać!

— Prawda, prawda, — odparł pan Maciej, — bardzo mi się podoba! Aż miło z nim mówić!

Tymczasem w salonie szły tańce jak w najlepsze. Zdrowa powiatowa młodzież wybijała hołubca aż okna brzęczały, tupała obcasami i przyhukiwała muzyce własnym głosem.

Zosia z twarzą zarumienioną, z piersią falującą stała opodal Stefusia.

— Czy pan wcale nie tańczy? — zapytała — panu zapewne śmiesznie wydajemy się!

— Dlaczego ma być taniec śmieszością? — odparł Stefuś, — taniec to extaza szczęścia!

— Powiedziałabym: szału — bo do szczęścia czegoś więcej potrzeba!

— Pani masz szczególny talent... wzbudzać ten szał! Sam czuję...

— Czy tak? — zaszczębiotała Zosia a oczy jej rozjaśniły się — czy tak?... to... to... proszę!

Tu podniosła lewą rączkę do góry i zwróciła się pierśią do Stefusia.

Nie było rady dla improwizowanego archeologa. Pochwycił w pół wiotką kibić, która jak powój zdawała się owijać o niego i puścił się z całym zapałem ulubionego walcu Straussa.

Mówią, że walec jest tańcem astronomicznym, gdyż naśladuje ruch ciał niebieskich.

Zosia nie przeczyła temu w tej chwili, bo zdawało się jej, że jak śnieżna Juno płynie po niebie a w oczach jej migają się gwiazdy, tam gdzieś daleko, daleko jeszcze!...

— Czy pani nie zmienisz swojej definicji tańca? — zapytał Stefuś, gdy Zosia na fotel prawie bez tchu upadła i całą pierśią oddychała.

— Nie, panie! To prawda co powiedziałam! Taniec to extaza szału!

— A ja chciałbym w tej chwili wierzyć, że taniec to extaza szczęścia!

Zosia otworzyła szerzej niżeli zwykle swoje piękne oczy i spotkała się z oczami Stefusia, w których była jakaś dziwna, nieodgadniona tęsknota!

Stefuś przysiadł się do niej. Rozpoczął rozmowę poważnego zakroju. Mówił o poezji, o dziwnie prozaicznych cechach dzisiejszego wieku, o potrzebie ideału w życiu, w pracy i w marzeniach.

Zosia słuchała go z rozważą. Odmówiła panu Romanowi i panu Karolowi tłumacząc się, że jest mocno zmęczoną; odmówiła nawet Bińci, która ją do jakiegoś figury zapraszała.

— Pan jesteś tak wyższym nad rozkosze dzisiejszej zabawy naszej, — mówiła do niego, — że się obawiam, abyś

się pan nie znudził! My takie zwyczajne, zwykłe stworzenia Boże!

— W tém właśnie zależy cała poezja życia, — odpowiedział Stefus, — że rzeczy poważne przeplatamy niewinną zabawą. Zabawa to przyprawa życia, a w tém jest rozum, aby téj przyprawy za wyłączny pokarm nie używać. Gdyby na przykład pani kto codziennie tańczyć kazał...

— Uchowaj Boże! Gdybym dla tańca miała zaniedbać mój ogródek, moje gołąbki, moje dzieci na wsi, nadzór nad gospodarstwem domowém: to byłby grzech śmiertelny!

— Zgadzam się zupełnie z panią; dlatego dzisiaj tańczyć będę!

— O to bardzo pięknie ze strony pana, że pan.... do nas się zniżasz!

— Przepraszam: przed chwilą tańcząc z panią myślałem, że latam po niebie!

Rąbek sukienki był znowu za ciasny. Zosia posunęła go ku ramionom i odparła:

— Nie widzę, abyś pan to seryo mówił!

— Przyjmuję wyzwanie!... Pozwoli pani, że porozumię się z narodem!

Skłonił się z uśmiechem i wstał z fotelu, aby z młodzieżą porozumić się o zmianę tańca.

Stefus chciał teraz stworzyć widzom arcydzieło. Zorganizował kotyliona z wszystkimi dodatkami, jak go w Wiedniu praktykują. Do pierwszej pary stanął z Zosią.

I zawiązał się łańcuch najpiękniejszych rączek i sukienek, i puścił się w dziwne zwoje — pojedyncze kółka pękały i osobno wirowały — za nimi szły inne, wytryskując z tłumu jak srebrne bańki z głębi wody i łączyły się w jakiś dziwny chaos, który jednak miał pewien system i porządek.

Potworzyły się najcudowniejsze grupy, te grupy rozbijały się i zbijały za każdym słowem, które z ust Stefusia wychodziły, rozwijały się i zwijały w kłębek, wreszcie nagle z porwanemi końcami stawały jak wryte!...

Po tym ruchu w massie, następował ruch par pojedynczych. Rozpoczął Stefus z Zosią. Fala skręcała się to na lewo, to na prawo, niknęła w massach i znowu wypływała jak wypływają melodyjne tony piosenki z całego chóru, który jój wtórzuje!

Wszyscy widzowie byli zdumieni! Stefuś jak czarno-księżnik jednem skinieniem kierował tą masą różnobarwną, i między tą masą odznaczał się z towarzyszką swoją jak czerwone pasmo w przędzy szarój!

Przy takim towarzyszku musiała Zosia być królową, bo byłaby nią każda inna. Sąsiadki nie mogły się napatrzeć na tak piękną parę. Nawet proboszcz i pan Maciej wyszli z drugiego pokoju i z uśmiechem na twarzy patrzyli na wcale nowe dla nich widowisko.

— Patrz pan,—ozwał się proboszcz do pana Macieja, który okiem gonił ładną parę,—i nasz uczony archeolog rozumie się na sztuce Terpsychory!

— Bardzo dobrze!—odpowiedział zadowolony pan Maciej,—tak być powinno. Młodość ma swoje prawa!

Kotylion przeciągnął się aż do północy. Stefuś wyszedł z niego obwieszony orderami naprędce zaimprovizowanemi i cofnął się jak drugi Cyncynat z całą skromnością archeologa w najciemniejszy kąt salonu, dokąd za nim wdzięczne spojrzania wszystkich panien pospieszyły!

Już jutrenka świeżała na niebie, gdy goście zaczęli się rozjeżdżać.

Zosia żegnała wszystkich z wielkiem wzruszeniem, całowała się z przyjaciółkami aż do łez, pana Romana nawet serdecznie za rękę ścisnęła, bo cały świat w tej chwili tak bardzo, tak bardzo kochała! Jój serce było dzisiaj otwarte jak kielich lilii, białej, niewinnej lilii!...

— A cóż panno Zofio, — rzekł na pożegnanie proboszcz, — czy nie przepowiedziałem niespodzianki?

Zosia chciała uderzyć proboszcza po rękę, ale przypomniała sobie, że to ręka poświęcana; skończyło się więc na uderzeniu przyjaciółki w ramię, która koło niej stała.

Stefuś widział to uderzenie. Uśmiechnął się z zadowolenia i podał Zosi rękę na dobranoc.

Zosia odsunęła grzecznie jego rękę, wzięła inną, którą jój podano i rzekła z uśmiechem:

— Pan przecież nie odjeżdżasz?... Trzeba dać pierwszeństwo tym, co jadą!

Stefuś przyjął wyrok i czekał.

Czekał do samego ostatka. A gdy już prócz ojca i Edwarda nikogo więcej nie było, wtedy dopiero podała Zosia rękę:

— Najwaleczniejsi, — ozwała się, — ostatni schodzą z pola bitwy.

— A na polu, niestety, muszą zostawić niezwalczonych! — dodał Stefuś.

Zosia powiedziała szybko dobranoc i wykręciła się, aby w jój oczka nikt nie zajrzał.

Za chwilę już jój nie było: tylko szelest sukni dochodził z dala.

Stefuś i Edward udali się do oficyn.

— Szalone porobiłeś konkiety! — rzekł do niego Edward, — wszystkie panny zakochały się w tobie!

— Zakochały, jak zakochały, — odparł Stefuś głaszcząc bakenbardy, — ale zrobił się potrzebny fundament do dalszych naszych operacyi. Teraz słowo moje, w twoim interesie gdzie rzucone, będzie miało już pewną wagę!

— Otóż mówię ci, wyrocznią będziesz!

Przyjaciele rozmawiali jeszcze czas niejaki między sobą, zapalili cygara i zasnęli wreszcie spokojnie, gdy pierwsze promienie wschodzącego słońca ozłociły szyby ich izdebki.

Spali spokojnie, nie słyszeli nawet ptaszka, który jakby posłany od kogo usiadł na ich okno, ćwierkał im jak mógł najśłodziej jakąś piosenkę do snu!

A w okienku, do którego sen nie chciał zawitać, nie było ani ptaszka, ani słońca!...

Okienko to wychodziło na północ, na zimną północ. Wiatr chłodny uderzał w nie, gałęzie lipy szeleściły pod niem, a niebo przysłało mu tylko zimne, błękitnawe światło.

Ale za okienkiem w pokoiku było za to bardzo rozkosznie. Piękną, bujnemi lokami ubraną główkę otaczały złote marzenia, które się śkliły jak piórka pawie i dźwięczały jak rój muszek złotoskrzydłych! Wszystkiego było tam pełno. Było słońce i gwiazdy, były kwiaty i trawki, był strumyk i skała, księżyc i altanka! Wszystko to było ożywione, mówiło, zwierzało się i słuchało wzajem cichych, jak szept szeleszczących zwierzeń marzącego serduszkala...

Trudno jest iść za śladem tych złotych marzeń, które są szybsze od iskry elektrycznej, trudno dzień po dniu zapi-

sywać drobne zdarzenia, które są wielkie dla tych, dla których się zdarzają!

Stefuś z Edwardem ulokowali się na czas dłuższy w oficynach. Stefuś miał robić wycieczki do granicznych kopców, rozdzielających korpusy majątków, w których wietrzył kurhany i uroczyska. Tymczasem tworzył z Edwardem plany, aby go gdzie bogato ożenić, jak mu to przyobiecwał.

Pan Maciej najserdeczniej przyjął ich w gościnę, a Stefusia za jego rozsądne zdania tak pokochał, że między nim a proboszczem przyszło nawet do pewnej zazdrości, proboszcz bowiem utrzymywał, że od razu przeczuł w Stefusiu znakomity talent i erudycją.

A Zosia?

O Zosi jest trudno co więcej powiedzieć. Zosia sama nie umiałaby zdać z tego sprawy. Miała tylko jakieś dziwne uczucie, ale nie wiedziała, co się z nią dzieje. Nie wiedziała, czy to, co po jej głowie biega, są myśli czy marzenia; nie wiedziała, czy je gdzie wyczytała, czy sama stworzyła.... ale z tém wszystkiém było jej dobrze, było bardzo dobrze!

Najlepiej zaś było jej, gdy księżyc do pokoju pomiędzy liście winogrodu świecił, a Stefan przy fortepianie jakąś rzewną piosenkę śpiewał o dwóch gołąbkach czy turkawkach....

Dzionek spływał po dzionku, godziny gdzieś umykały jakby skrzydła miały. A jeśli Stefuś na kilka godzin do swoich kurhanów wyjechał, Zosia nie odstąpiła od okna, póki go wracającego nie ujrzała. Rozumie się, nikt o tém nie wiedział, bo to był jej sekrecik.

Podjerzywała jednak Stefusia, że wie o tém. To ją mocno martwiło. Chciała się zamaskować, chciała być w oczy inną niżeli za zielonemi kwiatkami w oknie, ale to nie udawało się!

Stefuś z razu uśmiechem zadowolenia witał każde spostrzeżenie, które na jego korzyść wypadało. Widział, że rachunek założony zbliżał się powoli do rezultatu i zacierał ręce z radości, że mu się wszystko tak wybornie udało! Był tu jeszcze dawnym, samym sobą.

Ale z postępem dni zaczęło coś w nim się zmieniać. Jego arytmetyczne wyrachowania zaczęły się łamać, jego ta-

kim trudem nabyta nauka świata, za pośrednictwem takich nauczycielek jakimi była pani Aurelia i pani Idalia, zaczęła się mącić, a on sam tracił grunt pod nogami, na którym pierwój tak mocno się opierał!

Była to atmosfera Zosi, która to wszystko zrobiła!

Pierwsze, wiosenne wzruszenie niewinnej duszy było tak czyste, tyle boskiego było w nich pierwiastku, że tak światowy człowiek jakim był Stefus, zachwiał się od ich oddechu!....

Zaczęło mu coś majaczyć przed duszą, że kobieta może być czémś więcej, niżeli workiem pieniędzy, że może z tego zwykłego, samolubnego świata stworzyć świat inny, anielski, i w ten świat innych za sobą wprowadzić; że wreszcie dla tego ideału życia możnaby nawet coś ze swego egoizmu ofiarować, a nawet nawet poświęcić się!.....

Takie błędne światelka majaczyły przed Stefusiem, gdy mu Zosia jaki kwiatek podawała, lub gdy smutną piosenkę przy fortepianie śpiewała, albo nad chorą wiejską dziewczyną płakała!

W takich chwilach przychodziło Stefusiowi na myśl czyby nie lepiej było, aby poszedł inną drogą w życiu, aby nie potrzebował udawać innego, niżeli jest w istocie!

Pochwały ze strony proboszcza i pana Macieja za pracowity żywot jego, stawały mu się teraz nieznośniami, kłóły go jak żądła. Unikał ich, bo one bolały go w głębi duszy!

Katarakta sceptycyzmu, którą tak starannie nasunął sobie na oczy, zaczęła powoli podnosić się, a jakiś świat nowy, w innych zupełnie barwach występował coraz jaśniej przed nim....

Była chwila, że mógł zupełnie ozdrowieć, o tyle, o ile taki człowiek zdrowym być może...

Ale cóż za droga była przed nim potem?... Czyż mógł wrócić się do téj ścieżki, z której zbaczać zaczynał? Czyż nie była ta ścieżka już daleko od niego?

Nagle sukcessa, jakie teraz w ułożonym planie swoim robił, oderwały go od tych medytacji.

Zosia z każdym dniem widocznie coraz więcej mu się oddawała. Jój piękna dusza, oszukana rolą jaką odgrywał lgnęła coraz więcej do niego. Widziała w nim człowieka

wyższego, a wyższość podobna ma zawsze dla niewinnego serca tyle uroku, tyle pociągu!

Stefuś uznał wreszcie, że na medytacye nie ma teraz czasu. Trzeba było prędko ze sposobności korzystać. Wszystkie zamysły jego dojrzywały szybko, najmniejsza stagnacya wszystkoby popsuła.

Spokojnie więc, obliczywszy tak świetne korzyści, przystąpił do zbioru plonu.

Pewnego wieczoru, przy herbacie, gdy przez okno zajrzał księżyc w pełni, napomknął panu Maciejowi dosyć obojętnie, że jutro gościnny dom jego opuszcza.

— Jakto? tak nagle pan nas opuszczasz?—zapytał pan Maciej.

— Otrzymałem polecenie od Towarzystwa Naukowego aby zbadać pewne pamiątki przeszłości—odpowiedział spokojnie Stefuś.

Cisza grobowa nastąpiła; tylko w ręku Zosi zabrzęczała filiżanka.

— Myślałem że pan tak prędko nas nie opuści!—rzekł po chwili pan Maciej.

— I ja tak myślałem—odpowiedział z lekkim westchnieniem Stefuś—bo zazwyczaj rzeczy nieprzyjemnych przewidywać nie chcemy! Ale poświęciwszy się takim pracom nie można połowy duszy im dać! Im trzeba wszystko poświęcić!

— Ach to okrutnie!—wyszepnęła Zosia i urwała bo głos jój zadrżał.

— Nikt nie jest okrutniejszym jak człowiek sam dla siebie, gdy się jakiegś wyższej myśli poświęci!—odpowiedział spokojnie Stefuś.

— Czyż od téj wyższej myśli już nie dla siebie i dla innych utargować nie można?—zapytała Zosia z przymuszonym uśmiechem, podczas gdy łyzy drżały jój pod powieką.

— Nie—odparł Stefuś gorzko—poeta nasz wyśpiewał że są rzeczy, którym nie możemy pół-serca lub pół-duszy poświęcić!

Znowu nastąpiło głucho milczenie. Pan Maciej chciał rozmowę zwrócić na inny tok, ale mu się to nie udawało. Co kilka słów były długie pauzy milczenia. Twarz Zosi

bladła coraz więcej: powoli znikały z niej kolory i gasły światła.

Powstano od stołu. Edward zapalił cygaro, a pan Maciej wziął gazetę do ręki.

— Możeby mi pani co na pożegnanie zagrała?—rzekł Stefuś smutno do Zosi.

Zosia czuła teraz sama potrzebę muzyki; usiadła i zaczęła grać: przy niej usiadł Stefuś.

— Czy nie mógłbym dzisiaj z panią chwilkę na osobności pomówić?—zapytał cichym głosem.

Zosia pomyliła nuty, zadrżała cała i — wstrząsła głową.

— Więc chcesz pani abym odjechał.... odjechał na zawsze, i nie mógł pani powiedzieć....

— W taki sposób.... nigdy!—wyszepnęła z cicha.

— Księżyc tak pięknie świeci.... niebo zaprasza..... o jedną chwilę proszę!

Zosi polały się łzy z oczu—ale wstrząsła głową.

Stefuś milczał czas niejaki: takiego uporu nie spodziewał się.

— Jeśli mi pani rozmowy odmawiasz—mówił dalej—to pozwolisz pani kilka słów do siebie napisać?

— Ach panie! Zlituj się! Nie żądam tego odemnie!—wyszepnęła.

— Więc się łudziłem!.... Myślałem że do takiej prośby miałem prawo!

— Jeżeli pan jesteś w prawie—szepnęła po chwili—to proszę o litość!

— Są uczucia wyższe od litości—odparł Stefuś—zostaje przy mojem prawie!... Pozwolę sobie napisać kilka słów, a pani raczysz je przeczytać!

Rzekłszy to wstał od fortepianu i przyłączył się do siedzących przy stole.

Zosia została przy fortepianie. Nie chciała w tej chwili ojcu twarzy swojej okazać i siliła się do gry. Coś improvizowała, schodziła z jednego motywu na drugi, aby tylko się zatrudnić. Wreszcie wstali wszyscy i powiedzieli sobie nawzajem dobranoc. Zosia żegnając się, wybrała do tego najciemniejszy kąt pokoju, aby jej twarzy nie widzieć.

W oficynie Stefuś napisał liścik i przez zaufanego pokojowca wysłał do Zosi.

Zosia ze drżeniem, jakby miała popełnić grzech śmiertelny, czekała zagrożonego listu.

Wreszcie nadszedł. Krew uderzyła jęj do głowy, rzuciła się na kolana przed obrazem Matki Bożkiej, błagała o litość dla biednego serca swego i zaczęła list czytać.

List był dosyć długi. Stefuś mówił wiele o miłości, mówił że ją kocha nad wszystko w świecie i że ma przeczucie, że ona również jest mu wzajemną. Wzywa więc ją do walki, aby przemocą zdobyć to szczęście, które sam Bóg w niebie im zgotował i spodziewa się, że będzie w stanie możliwy opór ojca przełamać, jeśli takowy się okaże i t. d. . .

Zosia przeczytała ten list sto razy, płakała nad nim rzewnymi łzami, nie wiedząc dlaczego i poco! Raz zdawało się jęj że to wielkie zmartwienie, drugi raz że to wielkie szczęście! . . .

Ranek zastał ją czuwającą. Czuła ubytek sił i jakąś gorączkę.

Służąca przelekła się jęj wyglądaniam i zawiadomiła o tém ojca.

Ojciec przyszedł. Nachylił się nad łóżkiem. Zosia owinęła swoje gorące ramiona wkoło jego szyi, rozpłakała się i — podała mu list Stefusia.

Pan Maciej przeczytał spokojnie raz i drugi, posmutniał, a potem rzekł do córki:

— Wiedziałem potrosze, że na coś się zanosi. Nie chcę niewolić serca twego, ale chcę nad niem jako ojciec czuwać. Od kilku dni byłem w obawie, abyśmy nierozważnie sobie nie postąpili. Obawę tę wznieciły we mnie jakieś głuche wieści i kilka napomknien Edwarda. Nie chcąc nikomu krzywdy wyrządzać, napisałem do moich znajomych i od nich w tych dniach odbiorę listy, które mi może moje powątpiewania wyjaśnią. Dotąd radzę ci się ze wszystkim powstrzymać, a nawet dobrze będzie, jeśli w łóżku zostaniesz. Potrzebujesz spokoju. . .

Taka była rozmowa ojca z córką.

Stefuś ani się domyślał, co się z jego listem stało. Z dobrą miną powiedział panu Maciejowi dzień dobry i czekał spotkania się z Zosią.

Zosi jednak nie było. Mogła ona szczerze wypełnić życzenie ojca, bo była istotnie chorą.

Koło południa jakoś nie na rękę było Stefusiowi, że swój odjazd zapowiedział, o którym na prawdę nigdy nie myślał, a tu Zosi bynajmniej nie widzi, a do zostania nikt go nie zaprasza.

Na szczęście jednak przyszedł po południu jakiś list obojętny do niego. Stefuś oznajmił panu Maciejowi, że list ten daje mu jeszcze folgę niejaką i obiecał pozostać.

Pan Maciej przyjął tę wieść dosyć grzecznie i na tém się skończyło.

Tymczasem gotowała się nad głową Stefusia burza, o której nawet nie myślał.

Najprzód sam Edward podstawił mu nogę. Między ludźmi, którzy w szlachetne pobudki w życiu nie wierzą, tylko w prosty interes, nie ma także szczerzej, szlachetniej przyjacieli.

Edward w tych kilku tygodniach poznał, że Stefuś o jego interesie zupełnie zapomniał, a tymczasem sam dla siebie piekł pieczeń. Poznał, że ta pieczeń mu się udaje i poczuł zazdrość, a nawet jako krewny uważał za obowiązek przestrzedz swego stryja. Powoli nawet wygadał się dosyć niekorzystnie o swoim przyjacielu i o jego roli archeologa!

Za dwa dni nadeszły listy ze Lwowa: pan Maciej odczytał je z uwagą.

Po kawie zaprosił Stefusia do swojej kancelaryjki i drzwi za sobą zamknął.

Na stole leżały fatalne listy, a obok nich list Stefusia pisany do Zosi.

Gdy Stefuś list swój poznał, zarumienił się. Nigdy mu na myśl nie przyszło, aby listy podobne mogły córki ojcom swoim pokazywać. Miał pod tym względem zupełnie inne doświadczenia, a według tych doświadczeń sądził o całym świecie.

— Mój panie Stefanie, — ozwał się pan Maciej z powagą, — nie weźmiesz mi pan za złe, jeżeli z panem jako ojciec i przyjaciel pomówię. Córka moja zwierzyła mi się, jak to jej obowiązkiem było, żeś pan do niej napisał o stanie swego serca....

Stefuś stał czerwony jak upiór; nie tracił jednak jeszcze fantazyi.

— Serce pana, — mówił dalej pan Maciej, — jest jak serce każdego młodego człowieka i nie można go za to winić; ale ja jako ojciec musiałem być rozsądnym i zasięgnąć rad moich znajomych, którzy pana więcej znają odemnie. Otóż ich rady nadeszły: możesz pan je odczytać!

— Jakieżby mogły być te rady? — zapytał Stefuś butnie.

— Rady bardzo szczere, prawdziwie ojcowskie. Najprzód radzą panu, abyś pan pozbył się w życiu tych ról, które tylko na scenie uchodzą. Amatorskie teatry przyzwyczaiły zapewne pana do odgrywania ról różnych, ale najniefortunniejsza z nich była rola — archeologa!...

Stefuś zaczął sinieć na twarzy.

— Być może, że szlachetniejsze pobudki zmusiły pana do téj roli, ale jako przyjaciel i ojciec zaklinam pana, obieraj pan prostą ścieżkę we wszystkich czynnościach swoich!... Wiem nadto, że od kilku lat pod pozorem studyów prawa siedziałeś w stolicy i czas ten zmarnowałeś, a nawet rodziców swoich oszukiwałeś!... Mówię panu dlatego te słowa, że pana polubiłem, bo widzę w panu talenta i grunt dobry. Przy usilnej pracy możesz pan jeszcze wszystko naprawić. Więc moja rada jest taka: jedź pan natychmiast do Lwowa i wstąp napowrót do szkół. Skończ prawo, jakeś zrazu zamierzył; a jeżeli do tego czasu serce twoje nie zapomni dzisiejszych wrażeń, a sympatya mojej córki także dotrwa, to znajdziesz pan we mnie ojca kochającego!

Stefuś stał na rozdrożu wstydu i rozrzewnienia. Nie wiedział co wybrać. Pierwsze było konieczne, drugie nader przyjemne!...

Lepsza część jego istoty, która już pod tchnieniem Zosi zaczęła się ożywiać, ozwała się i teraz. Rady pana Macieja były rady ojcowskie, on go kochał, dla miłości Zosi mógłby wrócić na drogę inną, drogę, która mu już czasami majaczyła przed oczyma....

Ale w téj chwili zbudziła się jego pycha: katarakta skeptycyzmu zasunęła mu znowu oczy.

— Jakto? — pomyślał sobie — stary hreczkosio! przedrwiwa ze mnie! Wkłada na mnie obowiązki, jakichby nawet sam patriarchy za Rebeke nie byłby przyjął! Chcą żebym się wrócił napowrót do szkoły, między młokosy!... Nie,

to stary stroi sobie żarty!... To znaczy ruszaj sobie z mego domu!...

Stefuś wyprostował się z dumą i rzekł do pana Macieja:

— Po tém, com od pana usłyszał uważam za dowód wielkiego szacunku dla pańskiego domu, jeżeli — o wózek poproszę do najbliższej stacyi kolei żelaznej!

Ironiczny uśmiech przebiegł po bladej twarzy pana Macieja. Skłonił się w milczeniu.

Za godzinę dwa wózki równocześnie wyjechały z bramy, za którą rozjechały się w dwie różne strony.

Jeden powiózł Stefusia do stacyi kolei, drugi pojechał po lekarza!

XI.

U w ó d.

Do stacyi kolei było dwie milki. Stefuś miał czas spokojnie zastanowić się nad sobą.

Gdyby w moralny grunt duszy ludzkiej wierzył, byłby może przyszedł do wniosków na swoją korzyść. Byłby słowa pana Macieja wziął za szczerość i otwartość, byłby w takim razie może zdecydował się wrócić do pracy a to tém chętniej, jeżeli nagrodą téj pracy mogła być Zosia i wszelkie te korzyści, które się do niej wiązały. Szczęście stało widocznie przed nim.

Nawet i w gorszym razie mógłby był dopiąć założonego celu. Jeżeli Zosia pokochała go całą duszą, mógł za pomocą jéj miłości zmusić ojca do kapitulacyi, który mając do wyboru między dwojgiem złego, to jest między utratą albo cierpieniem córki a narzuconym zięciem, wybrałby zapewne ostatnie, jak to się czasem wydarza.

Stefuś jednak nie wierzył w szlachetną stronę ludzi. Nie widział żadnej poezyi, chociażby ta poezya nie była nawet rozsądną. Zbyt wczesne otarcie się o świat, a świat taki, który pozwolił jemu o sobie się ocierać, odebrało mu wszelką poetyczniejszą ułudę życia. On nie wierzył na seryo w wyższą miłość kobiety, nie wierzył w bohaterską wytrwałość serca. Miał to przekonanie, że miłość kobiety to szal

chwilowy, z którego wprawdzie na razie korzystać można, ale nie można go brać za fundament do planów na dłuższy czas założonych.

Słowa więc pana Macieja, aby zamiast iść do ślubu, do szkół się nawrócić, wziął po prostu za impertynencyę jemu wyrządzoną, za niegrzeczną, dyplomatyczną formułkę odprawy.

O Zosi nie miał także lepszego wyobrażenia. Młode dziewczę wprawdzie rozkochało się trochę, ale po rozmowie z ojcem, wyparło się swoich wzruszeń i postanowiło być mu posłuszném. Był to z jęj strony mały romansik, jaki zazwyczaj dla wprawy przedsiębiorą czasem pensyonarki.

Tak myślał o Zosi Stefuś. A uzasadnionym powodem do tego było, że po odebraniu listu jego, który zaraz ojcu dała, zamknęła się w swoim pokoiku, aby mu się więcj nie pokazać. Uważał to za zwykły koniec pierwszej wycieczki młodego serca, jak to się w stolicy często zdarzało.

Wyprowadziwszy z całej swojej katastrofy podobne wnioski, złorzeczył światu i ludziom, że są źli i nie doskonali, wyrzucał kobietom że na prawdę nie kochają, że mężczyzn tylko grą udaną łudzą, a potém cofają się, gdy piąty akt ma nastąpić. Gdyby nawet pod ręką miał papier i pióro, byłby napisał wiersze á la Hejne albo á la Byron, rzucając klątwę na cały ród kbięcy, który nie jest zdolny do uczuć wyższych i szlachetniejszych i tylko materyalny stan konkurenta za punkt wyjścia w swoich miłosnych rojeniach bierze'...

Takie i tym podobne myśli biegały po głowie rozżalonego Stefusia, gdy wreszcie zbliżył się do stacyi kolei żelaznej, o której jeszcze wcale nie wiedział, gdzie go zawiezie!

Gdzie? Pocóż się troszczyć! Któż jest pewny swego *jutra*? Czyż to nie lepiej, nie poetyczniej jest, żyć z dnia na dzień, żyć dzisiaj i nie mieć żadnego *jutra*?

Stacyą kolei było miasteczko małe, znane powszechnie ze swoich jarmarków końskich.

A taki właśnie jarmark odbywał się w miasteczku.

Stefuś wszedł do dużej izby gościnnej żydowskiego zajazdu. W izbie było wiele szlachty okolicznej, która w takim razie bądź w interesie, bądź ze zwyczaju bardzo licznie tu się zjeżdża.

Ponieważ jarmark nie bardzo dopisał, pocieszano się towarzyską rozrywką: grano w karty.

Jedni grali preferansę, drudzy wista, inni w djabełka „taniego”, do czego miał kto pociąg.

Przy „tanim” djabełku siedziała młodsza generacja. Między nią dosyć czupurną fryzurą i pewną pretensjonalnością w ubraniu celował blade młodzieniec, mający zaledwie lat dwadzieścia kilka. Grał z wdziękiem prawdziwie pańskim, rzucając na stół banknoty różnego formatu.

Ojciec tego zanego młodzieńca handlował trzodą do Opawy. Współcześni pamiętają jeszcze jak jeździł po jarmarkach i targach i obmacywał grzbiety siercią najeżone, aby się dowiedzieć o grubości słoniny. Był to człowiek zacny, pracowity i oszczędny. Handelek poszczęścił mu się, uskładał znaczne pieniądze, za które przy końcu życia kupił bardzo ładny majątek w ziemi.

Syn jego Teobald Maria Alfons chciał zatrzyć chlewne pochodzenie majątku swego, jak się w sekrecie wyrażał, wkuwając się do grona szlachty. I zdawało mu się, że tego inaczej nie skuteczni, jak tylko drogą gry w karty i w ogóle życiem kosztowniejszém.

Na popis swego wyższego szlachectwa wybierał jarmarki i różne zjazdy w okolicy.

Tenże pan Teobald Maria Alfons siedział właśnie przy „tanim” jak zapowiedziano djabełku.

Stefuś znał go: podali sobie ręce.

— Czy grasz z nami? — zapytał Teobald.

— Nie jestem przy grubszych pieniądzech, — odparł Stefuś z pańska.

— Stefuś i grubsze pieniądze! — zawołał śmiejąc się Teobald, — to są rzeczy, które nigdy z sobą w parze nie chodzą!.... Nie udawaj: masz dziesiątkę, siadaj i przegraj ją do mnie napowrót!

Dowcip podobał się: Stefuś wziął dziesiątkę i zaczął grać.

Nie wypełnił jednak warunku dawcy, nietylko bowiem nie przegrał dziesiątki, ale wygrał kilkaset guldénów i parę koni z karyklem i furmanem!

Zdawało się, że niebo chciało go wynagrodzić za poniesioną klęskę w domu pana Macieja. Samo dawało mu do ręki broń, którą zwalczyć miał nieprzyjazny mu świat i wziąć go pod nogi!

Parę koni, karykiel i furman w liberyi.... na cóż więcej do szczęścia młodego człowieka? Czyż to nie najłatwiej takim ekwipażykiem wjechać w serce pierwszej lepszej, tłusciutkięj gąski?

Jeszcze tego samego wieczoru wziął Stefuś swoją wygraną w fizyczne posiadanie, dał furmanowi strawne a dla koni na owies i zaczął przemyślać, co by to teraz zrobić, aby ten kapitał nie stał w stajni bez procentu. W innym bowiem razie były konie i karykiel wraz z furmanem tylko ciężarem!

Przyszło mu na myśl, że to właśnie czas kąpielowy! Karykiel i furman w liberyi w kąpielach galicyjskich, ach to myśl złota, to najpewniejszy numer na loteryi, to jakby już wygrana!

Dobrawszy sobie towarzysza, który do wspólnych kosztów podróży miał się przyczynić, wyruszył do Krynicy.

Krynica w owym czasie była miejscem bardzo dobrze wybranem. Zaludniały ją kobiety i panny nerwowe, zbyt długiem oczekiwaniem ideałów swoich rozstrojone. Inne były zdrowe, rumiane i przyjechały tylko, jak twierdziły, „dla świeżego powietrza.” Były między niemi i takie, które się tylko wprost bawić chciały, ale wśród zabawy wyraźnie odróżniały tak zwanych „epuzerów” od zwyczajnych, brzęczących trutni, i były dla nich nader łaskawe w rozmowach, tańcach i wycieczkach.

Słowem, było to miejsce jakby dla Stefusia stworzone, jak to sam sobie powiedział.

Było to właśnie po południu. Dzień był piękny sierpniowy. Większa część gości kąpielowych używała koło źródła świeżego powietrza. Tualety były staranne, humory jak najlepsze.

Nagle od tartaku z góry zaturkotały koła: wszyscy zwrócili oczy w tę stronę.

— Ach!... Ach! — zawołano chórem — goście! Nowi goście!...

Elegancki karykiel, piękne gniade koniki i furman w liberyi stanęły przed domem „pod trąbką.”

— Jest tu piętro do najęcia?— zapytał Stefuś rozparty w karyklu.

— Jest jaśnie panie! Jest!—odpowiedział stróż i z głową odkrytą pospieszył do karykla.

Stefuś zeskoczył z karykla. Włożył na nos lornetkę i zmusztrował gapiącą się z dala publikę kąpielową.

— Jest coś tego dużo!—rzekł do towarzysza podróży.

— A dosyć sporo! — odpowiedział zapytany wydmuchnąwszy siny dymek z cygara.

Za kilka chwil było pięterko „pod trąbką” zajęte, a karykiel wolnym ruchem jakby w pochodzie tryumfalnym ruszył do hotelu czyli karczmy.

Do wieczora o niczém nie rozprawiali goście kąpielowi jak tylko o karyklu. Kto był jego właściciel? Czy kawaler czy żonaty? Jakiego stanu człowiek? Czy przyjechał za kimś upatrzonym, czy tak tylko na niepewne?... były pytania, które sobie zadawano.

Odpowiedź na te pytania była bardzo trudna. Pewna część mężczyzn, którzy rodzaj „kuryerów” kąpielowych przedstawiają, rozeszła się na wszystkie strony, aby zasięgnąć języka. Trudna jednak była rada. Sam furman nie wiedział jak się jego pan nazywa, a wstydził się przyznać, że był na kartę w dyabełka postawiony i wygrany. Zakłopotanie furmana rodziło mnóstwo domysłów, które były jeszcze ciekawsze od wyżej wymienionych pytań.

Wszyscy goście kąpielowi mieli dzisiaj noc anormalną. Mani śniło się, że żółty karykiel wprost jęj pierś przeszył dyszlem i w żaden sposób nie mogła się od niego uwolnić. Binia rozmawiała we śnie z właścicielem karykla, a gdy kur zapał, właściciel tupnął w posadzkę kopytem, zostawił ślad wypalony i znikł zostawiwszy po sobie zapach spalonej smoły!... Ludka pasowała się z nim, bo jęj kamelię wydzieła, którą jęj przyniósł pan Sabcio!... Ciocia Lorci widziała pod karyklem ogromną szkatułę z dukatami i gniewała się na panią Stefanię, która ją sobie przywłaszczyć chciała!...

Słowem, same anormalności w całym ustroju nerwów! Lekarz zdrojowy na drugi dzień nie mógł swoich pacjentek poznać, tak się wszystkie zmieniły!

— Pani coś mi źle wyglądasz!—rzekł do Mani.

— Coś mi głowa trochę boli!—odpowiedziała Mania.

— Kommocy! kommocyi więcej i na wieczór nie nie jeść!... A cóż pani dzisiaj?

— Mam migrenę,—odpowiedziała Bincia.

— Pić jeden kubek mniej!... Pani przecież dzięki Bogu zdrowa?

— Gdzie tam konsyliarzu! W boku mnie kłuje! — odpowiedziała ciocia Lorci.

— Opodeldog! Smarować dwa razy na dzień!

Takie i tym podobne musiał przechodzić katusze lekarz zdrojowy!

Tymczasem sprawca tego wszystkiego leżał spokojnie w eleganckim jak na Krynicy pokoiku i popijał herbatę, którą mu z restauracyi kąpielowej przyniesiono.

Około południa, gdy słońce sierpniowe mieszkańców Krynicy z miejsc otwartych wymiotło, zebrał się Stefus i udał się na zachwycenie języka.

W ganku restauracyi spotkał dalekiego znajomego, pozdrowił go i powiedział mu, że pewna sukcesyjka z Ukrainy na niego spadła i że właśnie wyjechał za szukaniem dzierzawy znacznej i korzystnej. Potem zapytał o gości kąpielowych.

Znajomy otrzymał dobre cygaro, a że był rozmowny, Stefus wywiedziało się o wszystkiem, to jest o tém, o czém tylko znajomy wiedział. Wiedzieć bowiem o wszystkiem co się gości kąpielowych dotyczy, to praca nie lada, a nawet trud daremny!

Cóżby bowiem dał pan Michał za to, gdyby mógł się na pewno dowiedzieć, ile posagu ma Binia? Mama prowadzi w kąpielach dom kosztowny, mówi o różnych dodatkach życia ludzkiego w ten sposób, że możnaby wnosić, iż są bardzo znaczne zasoby—ale... ale nie pewnego!

A cóżby znowu mama wraz z Binią dały za to, gdyby się dowiedzieć mogły jaki majątek w rzeczywistości posiada pan Michał! Jest mina i frak, ale kto wie... co za górą?

Mimo to były pewne tajemne znaki, po których jedni drugich szacowali. Rezultatem jednak takiego szacunku było, że się najczęściej szukano i to nie w *plus* ale w *minus*!

Stefuś dowiedział się najprzód o towarzyskiej organizacji gości kąpielowych.

Organizacya ta zasadzała się głównie na decentralizacyi sił, jak to najnowsza ekonomia polityczna naucza. Kilka pań wyżej urodzonych chodziło osobno z swoim dworem. Żony właścicieli ziemskich nie chciały przyjąć do swego towarzystwa żon lekarzy i adwokatów, a te znowu unikały sfery mieszczańskiej jako im nieodpowiedniej, reprezentowanej przez żony kupców i właścicieli kamienic. Były jeszcze niższe gradacye zacności ludzkiej.

Mężczyźni, ponieważ ich nie było wiele, mieli do wszystkich fortec listy żelazne. Była nawet o nich emulacya między fortecami, które czasem różnemi intryżkami o załogę walczyły.

Do przewodzców należeli trzej bracia: jeden podtusiały kawaler, który mazura dobrze tańczył i o jadło na wycieczkach się starał; drugi był żonaty, który gdzieś żonę zapodział a tymczasem kawalera udawał i partyjki organizował, a trzeci był gospodarzem kąpielowym, którego zazwyczaj wysyłano ze skargami do władz miejscowych. Był to niestrudzony trybun ludu kąpielowego, który w jego imieniu staczał walki z restauratorem za złą połędwicę i małe porcyjki, z aptekarzem za nieświeże wody mineralne i z zarządem kąpielowym o co tylko się dało!

Inną służbę porozdzielali między siebie inni mężczyźni jak mogli i na co którego stać było. Jeden chciał być dowcipnym i brano co dawał z chrześcijańską miłością. Drugi naśladował Chopina, a macając po klawiszach patrzył ciągle na brudny sufit, udając że patrzy w niebo otwarte. I ten miał powodzenie za swoją pracę ciężką, osobliwie gdy deszcz padał.

Inni znowu umieli organizować gry towarzyskie: ci naśladowali doskonale śpiew ptaków, a wszyscy prawie tańczyli i umieli godzinami mówić o niczem, o co najwięcej gościom chodziło, każdy bowiem chciał tu wychnąć fizycznie i moralnie.

Niepoślednie miejsce w hierarchii towarzyskiej zajmował także poeta kąpielowy.

Już to wody galicyjskie obfitują zawsze w poetów. W każdym kąpielach musi być jakiś poeta i to niepośledni,

jak o tém kobiety kąpielowe twierdzą, chociażby go literatura wcale nie znała! Ale co tam literatura! On Binci napisał w albumie wiersz taki czuły, Mani dorobił słowa do piosenki, a ciocia Lorci widziała na własne oczy jego „trzy sonety” drukowane!

Otóż był wtedy i ten poeta „trzech drukowanych sonetów”, który w pauzach wolnych od natchnienia, grywał w billard lub prowadził na sznurku azorcia panny Konstancyi.

Stefuś wysłuchiwał wszystko z wielką uwagą i spisał sobie znaczniejsze domy, w których postanowił być z wizytą.

I w kilka godzin potem trzydzieści domów i domków dowiedziało się, że właściciel karykla nazywa się: Stefan Tarło!

— Tarło! Tarło!—powtarzano sobie do uszu,—co za Tarło? To znakomita rodzina! ..

Gdyby Stefuś z mniejszym efektem „pod trąbkę” był zajechał, gdyby milczkiem i skromnie wszedł w towarzystwo kąpielowe, byłby może daleko większą korzyść odniósł w swoich zamiarach; ale wjazd jego do Krynicy to był oczywisty atentat na tych wszystkich kawalerów, którzy kilkotygodniową pracą już się pod serduszka panien podkopali! Był to również atentat na te serduszka, które nagle jakoś nieregularnie bić zaczęły!...

Temu złemu potrzeba było zapobiedz. Trzeba się czegoś koniecznie dowiedzieć o tym niebezpiecznym człowieku, który groził nie tylko panu Michałowi, Alfonsowi i Nepciowi, ale groził również i przywódzcom a mianowicie trybunowi ludu, który właśnie co dopiero skończył walną bitwę z restauratorem o niepobielane rondle i kwaśne jabłka do naleśników!

Wszyscy więc rzucili się, aby niebezpiecznemu człowiekowi nogę podstawić. A niebezpieczeństwo było wielkie, gdyż Minia na głos powiedziała, że jest najprzystojniejszym mężczyzną w kąpielach, Binia na głos jego angielskie faworyty pochwaliła, a ciocia Lorcia widziała w nim człowieka „z szykiem.”

Jedni mówiąc o nim przymrużali oko, aby dać poznać, że więcej wiedzą, ale źle o bliźnim mówić nie chcą; drudzy wyrażali głośno swoje powątpiewanie, aby ktoś z Tarłów

miał jeszcze chodzić po Bożym świecie, gdyż ta familia już dawno wymarła wraz z prawnukami!

Mimo to wszystko postanowiły kobiety z tak przystojnym i napozór przyzwoitym człowiekiem wejść w stosunki dyplomatyczne i chronić się tylko miały od pewnych hazardów, osobiwie gdy córki były na wydaniu.

Stefuś jednak dawał sobie radę jak mógł, choć mu skrycie niebo nie sprzyjało. Urządził kilka wycieczek do lasu z fajerwerkami, spędził całą załogę na wieczorek tańczący, co dotąd przy zasadzie decentralizacyi nigdy się nie udawało, zorganizował kotyliona z takimi figlami, że wszystkie panny i młode mężatki chórem wyrzekły: że teraz dopiero zaczyna się Krynica na prawdę bawić, że teraz dopiero znalazł się człowiek, który jakby był w tym celu z nieba zesłany!

Stefuś cieszył się swemi zwycięztwami i roił sobie najlepsze nadzieje!

Zwycięztwa te jednak ograniczały się tylko na sferze towarzyskiej. Po za tę sferę trudno mu było sięgnąć; każda bowiem panna, mająca woń posagu, otoczona była całym orszakiem pretendentów, którzy na ten posag polowali. Kontrolowali więc siebie wzajemnie i denuncywali w rozmaity sposób. Temu zarzucali niskie urodzenie, tamtemu goliznę, owemu jakieś sprawy nie honorowe. Każdy wynajdywał jakieś plamy na swoim rywalu i w sposób zręczny rozszerzał o tém wiadomość.

Zdaje się, że i Stefusiowi, który był dla nich bardzo niebezpieczny dostało się sporo, bo serduszka jakoś nie otwierały się dla niego tak szeroko, jak to napozór oczy wskazywały.

Nawet w kilku wypadkach powiedziano mu z westchnieniem, że byt materyalny w takim razie nie należy z oczu spuszczać, a resztę miał sobie Stefuś dośpiewać.

Była jednak jedna szanowna matrona, która miała bardzo ładną córkę, Filipcię. Matrona miała przy każdej sposobności obszernie kazanie o zmateryalizowaniu wieku, o braku poetyczniejszych poglądów na świat, o przesądach kastowych i dodawała zawsze do tych kazań, że Filipcię wyda za tego, który się jój tylko podoba, choćby nawet w bardzo skromnych był stosunkach majątkowych. Dodawała do

tego także, że jęj córka może tak wybierać, bo nie potrzebuje się oglądać na majątek przyszłego męża.

Filipcia miała krótko ucięte włosy *en poète*, nosiła zawsze z sobą tomiki różnych poezyj i nadzwyczaj sentymentalnie śpiewała pieśni z „Halki.”

Mimo tak sprzyjających okoliczności była jednak mama z poetyczną Filipcią dosyć osamotnioną: adoratorów wcale tam nie było.

Stefuś zwrócił na nie uwagę. Filipcia mówiła mu, że nudzi się w kąpielach, bo między młodzieżą nie ma nikogo, któryby jęj marzeniom odpowiadał. Wszyscy są prozaiczni, żaden z nich nie umie wejść w marzenia kobiety, która wyższych uczuć pragnie. Dlatego odosabniają się z matką od tęg rzeszy i wolą żyć w samotności.

Stefuś ucieszył się odkryciem takiego brylantu i postanowił tutaj szukać szczęścia.

A szczęście było łatwe. Ułatwiały do niego drogę zasady matki i córki. Majątek był jakiś znaczny, bo był lokaj i panna służąca, co u wód już wiele znaczy. Wprawdzie lokaj i panna służąca byli wzięci po drodze we Lwowie i o Ukrainie nie mieli ani wyobrażenia, jak to się Stefuś od nich dowiedział, ale zawsze były dostateczne dowody za-
możności.

Stefuś więc zaczął się kochać, a zdawało mu się nawet że się kocha na prawdę. Filipcia okazywała mu widocznie wzajemność i rzeczy szły szybko do ostatecznego rozwiązania.

Pewnego dnia chciał Stefuś odwiedzić znajomego, który mieszkał w tak zwanym „pałacu.”

Pałac był to obszerny budynek z drzewa.

Stefuś wszedł do pokoiku. Pokoik był otwarty, ale znajomego nie było. Postąpił naprzód aby na stole zostawić mu kartę. Nagle zasłyszał swoje nazwisko.

Stefuś stanął na środku pokoju. O ścianę mieszkała Filipcia z matką.

— Pan Tarło,—mówiła matka,— jest przyzwoitym na-
pożór człowiekiem, ale ja obawiam się Filipciu, abyś się nie
zagalopowała!

— Niech się mama nie obawia, — odpowiedziała Fili-
pcia,—ja na to uważam.

— Nie trzeba przyobiecywać, nie trzeba odmawiać. Wprzódby musimy się coś pewnego o jego majątku dowiedzieć. Mówią, że ma jakiś kapitalik i szuka dzierżawy. Wprawdzie dzierżawca to za mało dla twego wychowania, ale zważ dziecię, że jest was ośmioro i że zaledwie na jaką taką wyprawę ściągnąć się można. Na wiosce długi.

— Mogłabym inaczej wybierać, gdyby stryjaszek coś dał.

— Stryjaszek za życia nic nie da, a nie wiem nawet czy po śmierci co będzie!

Nastąpiła pauza. Stefuś słyszał lekkie westchnienie. Cicho na palcach wyniósł się z pokoju.

Gdy już był daleko za rzeką, odetchnął ciężko jak człowiek, który uszedł wielkiego niebezpieczeństwa.

— O tobym się złapał!—zawołał półgłosem—one budują na moją dzierżawę!

I jakby już rzeczywiście kto go łapał, puścił się cwałem do lasu i nie obrócił się aż w głębokim parowie, zawadzwszy o pniak drzewa.

— Tam do kata!—mruknął do siebie—ażem się spocił ze strachu!.. Jak to człowiek nie wie co nad nim wisi! Prawdę powiedział Malczeski, że „szczęścia chwile

„Są jak niebo pogodne, gdy piorun grzmi w tyle!..”

Jednak ten piorun na szczęście nie dosięgnął go jeszcze. Był zdrow i cały i mógł każdej chwili cofnąć się z linii bojowej.

— Już mnie tam pewnie nie obaczą więcej! — mówił do siebie i chciał jeszcze dalej uciekać, gdy sobie przypomniał, że właściwie nikt go nie goni!

Zawrócił do domu. Kilka dni przepędził bez planu jak armia rozbita. Filipcia z daleka patrzyła na niego melancholijnie, robiła mu nawet wyraźne znaki, aby się zbliżył; ale on tych znaków teraz nie widział! Nawet widocznie uniikał spotkania.

„Pod trąbką” była poczta. Trzeciego dnia schodząc z pięterka obaczył Stefuś listowego, który w ręku trzymał list duży, czarną pieczęcią zamknięty. Na kopercie przeczytał nazwisko matki Filipci.

— Tam do kata!—pomyślał sobie, — może ten stryjaszek na prawdę umarł!

Pobiegł prędko do źródła. Koło źródła nie było ani matki ani Filipci. Dopiero za dwa dni pojawiły się obydwie w pysznych sukniach z długimi ogonami, z czarnego kaszmiru.

— Stryjaszek rzeczywiście umarł! — pomyślał sobie Stefuś.

Równocześnie z tą myślą usłyszał zaraz ze wszystkich stron, że stryjaszek nie tylko umarł, ale zostawił ogromne kapitały, których się nawet nie spodziewano!

I była to zapewne prawda, bo zaraz trzech najsprytniejszych epuzerów, którzy słynęli z dobrego węchu, otoczyli szczęśliwą heretierkę, i nikogo więcej nie dopuścili.

Stefuś chciał teraz zbliżyć się, choćby tylko z kondolencją, ale Filipcia ani matka nie widziały go! Wywócił słów kilka na chybił-trafił, ale słowa zostały bez echa!

Pod wieczór poszedł z wizytą. Zastał tych trzech epuzerów. Filipcia powitała go obojętnie i obróciła się do jednego z epuzerów, który wprawdzie miał tylko kilkaset włosów żółtych jak krokosz na głowie, ale miał za to dwie wioski i jeden przysiołek!

Stefuś próbował jeszcze szczęścia dni następnych, ale nie tylko w tych dniach niebo dla niego zagniewane było, ale nawet i Filipcia dosyć otwarcie mu powiedziała, że lubi jego towarzystwo i rozmowę z nim o poezji, ale nadto aby sobie niczego nie obiecywał!...

Stefuś był teraz rozżalony na cały świat. Wierzył za wzięcie, że ten świat wyrządził mu wielką krzywdę, że ludzie go zapoznali i nie zrozumieli!... Głośno wołał:

— I bądźże tu szlachetnym! Wierz w serce kobiety i buduj na niém szczęście swoje! Kochaj świat i wytocz za niego krew serdeczną!... O ludzie! O kobiety! Marny kruszec to wasze bożyszcze, to wasza miłość! Chcecie być ideałem życia, a jesteście tylko towarem, który pierwszy lepszy kupiec zapłaciwszy nabyć może!...

Otóż wyrzekam się waszych serc sprzedajnych, waszych spojrzeń zatrutych! Za *kruszec* będę miał wszystkie wasze serca i spojrzenia—a *kruszec* muszę mieć! Wtedy tysiąc postawię was przed sobą i będę wybierał jak sułtan!

I sięgnął do kieszeni, a znalazłszy tam ten marny kruszec na schyłku, kazał sobie podać rachunek, aby jeszcze

dnia dzisiejszego wyjechać, i na pierwszej stacyi pozbyć się konia, karykla i furmana!

XII.

Altana i cmentarz.

W rodzinném mieście Stefusia zaszły do tego czasu wielkie zmiany. Na zewnątrz zmian tych prawie widać nie było. Miasto już od wieków stare i podupadłe nie mogło w kilku latach tak znacznie się zestarzeć lub więcej podupaść. Porozwalane mury porastały co roku zaraz z wiosną bujnym chwastem i zakrywały aż do zimy porobione przez ten czas szczyrby i wyłomy; w zimie znowu spadł śnieg i lekką warstwą pozakrywał wszelkie ubytki wiekowych ruin.

Tym sposobem w mieście nie można było dojrzyć postępującej starości. Na mieszkańcach tylko była ona widoczna. Mianowicie dawniejszych rodów mieszczenie, którzy dawny obyczaj konserwować chcieli i w poważnej bezczynności z założonemi rękami na podcieniach domów siedzieli, postarzelisi i zbiednieli w stosunku do ruchliwej ludności wyznania mojżeszowego, która przemysłem i handlem dorabiała się coraz więcej i z ciasnych uliczek i zaułków miasta coraz dalej posuwała się w rynek i na głównejsze place. Granicą tego nowego świata od świata, który konał, były kamienice na czerwono lub błękitno według wschodniego gustu pomalowane, a od nich odbijały smutno czerniały, chwastem na gżemsach porośłe domy starych patrycyuszów!

I dom narożny z czerwoną nad oknami tablicą znacznie się od tego czasu postarzał. Tablica wypłowiła od słońca, nazwisko prawie się zatarło, tylko „zegarmistrz” jeszcze pozostał.

Dom ten w ostatnich miesiącach był w wielkim smutku. Przez dwa dni i dwie nocy paliły się tam w oknach dwa szeregi świec jarzących, a trzeciego dnia uszykował się przed domem długi orszak mieszczan i odprowadził na cmentarz trumnę dębową, misternie świeczkami obitą.

Za trumną szedł tylko stary zegarmistrz, Stefuś nie był na pogrzebie matki. Wysłany po niego list nie mógł go odszukać, i nikt nie mógł powiedzieć, gdzie wyjechał.

Po pogrzebie żony bardzo smutno było staremu zegarmistrzowi. Gewontowa i Paulina pocieszały go, że Stefuś wkrótce przyjedzie, bo niepodobna, aby o śmierci matki nie wiedział.

Osobliwie Paulina miała wiarę niezachwianą i po całych dniach siedziała w oknie, aby każdego podróżnego z daleka widzieć. Serce jej bowiem przeczuwało, że przyjazd Stefusia musi być jakimś stanowczym dla niej zdarzeniem. Miała już gotowy dla niego rachunek swoich łez i nocy bezsennych, kurczów i boleści serdecznych, i ten rachunek chciała mu przedłożyć!...

Stary zegarmistrz wierzył obietnicom Pauliny, którą teraz jak córkę pokochał, ale jakieś dziwaczne przeczucie tak go bezustannie trapiło, że pewnej nocy chciał już zakończyć pielgrzymkę swoją śmiercią nader łagodną i łaskawą, to jest: przez apopleksyą. Stary piekarz jednak sprzeciwił się tak haniebną dezercyi bez spowiedzi i komunii i przyszedł do sąsiada z ogromną szczotką i dopóty tarł go w potcie czoła, póki zegarmistrz także się nie spocił i oczu nie otworzył. Paulina miała już ziółka gotowe, co obaczywszy zegarmistrz postanowił żyć jeszcze czas niejaki, choćby tylko dla przyjemności tych, którzy go tak po chrześcijańsku ratowali. Przytomni temu przyjęli tę decyzję zegarmistrza z wielką radością.

I wkrótce byli wszyscy wynagrodzeni: Stefuś przyjechał.

W życiu Stefusia była to chwila nader ważna. Przybył rozżalony na świat i ludzi, którzy dla niego, jak mniemał, byli bez litości; przybył z raną otwartą, jaką mu świat brzydki i podły zadał, dla którego on miał tyle miłości!... A gdy jeszcze więcej w tém rozżaleniu zagłębiał się, doszedł do przekonania, że jest prawdziwym bohaterem, czystym jak słońce, podczas gdy wszystko wkoło niego czarne było! Chciał kochać, a kochać mu nie dano, chciał się poświęcić, a ofiary nie przyjęto!

Takie dziwaczne myśli i uczucia biegały mu po tajnikach duszy i serca. Powziął żal do świata jak jaki wielki poeta i przemyślał na prawdę o roli bohatera!

W takiem usposobieniu duszy trafia go cios nowy: matka umarła!...

Ten cios wywołuje w jego sercu wszelkie dziecinne wspomnienia! Pieszczoty matki, która z ojcem często za niego walki domowe staczała, kominy przeciwległych domów, o których stary pedagog powiedział mu, że są podobne do ideałów życia, które za zbliżeniem chowają się!...

To prawda! Ideały jego chowały się zawsze przed nim, gdy się do nich chciał zbliżyć, jak te kominy za czasów jego wędrówek dziecinnych chowały się zawsze po za dachy kamienic, do których się zbliżył!...

Rozrzewnienie jego było głębokie i prawdziwe, chociaż o pobudkach tego powiedzieć nie można.

W tém rozrzewnieniu zbliżyła się do niego Paulina.

Paulina nie była w téj chwili idealikiem powiernym, akwarelowym, lekko w postaci skrzydlastego aniołka naszkicowanym. Była to kobieta w całym znaczeniu tego słowa, z jasną aureolą przeżytych cierpień i boleści, przemarzonych na darmo dni i nocy... z cierniową koroną utraconych marzeń i bez echa skonanych pragnień!

Taka kobieta ma potęgę daleko większą nad sercami, niżeli złoty aniołek o skrzydłach motyli!

Pięć lat prawie upłynęło od tego czasu, gdy jęć różowe paluszki odpięły od serca ową broszkę pamiątkową. Pięć lat nawiązanych do téj broszki marzeń i nadziei upłynęło, pięć lat gorzkiego i smutnego życia wśród nędzy i ubóstwa!

Śród nędzy i ubóstwa nie miała nad te marzenia! Wypieściła więc je i wykarmiła w głębi duszy i niemi potem żywiła się w długich nudnych dniach i nudniejszych jeszcze nocach bezsennych!

Teraz z gotowym rachunkiem tych cierpień i boleści stanęła przed Stefusiem.

Stefus mógł ten rachunek teraz przyjąć ku pociesze strapionej duszy swojej. Gdyby się nie był nauczył patrzeć na świat z okien salonów, byłby zgodził się na połączenie dwóch domów w jeden, bo dom Gewontowej przypierał do ściany zegarmistrza. Paulina mogłaby zasłonić mu ten świat,

widziany z okien salonów. Jój piwne oczy gorzały tęsknotą do tego, i były pewne, że mogłyby tego dokazać. Stefuś mógł znaleźć jakie zatrudnienie dla siebie i być pożytkiem dla miasta.

Wszystko to było możliwe, a sytuacja bardzo temu sprzyjała.

Paulina postanowiła całą sprawę na kartę postawić. Nie było nic do stracenia, bo cierpienie swoich i bezowocnych boleści nie chciała dłużej przewlekać.

Stefuś był teraz bardzo przystępnym. Rozżalenie jakie czuł do świata i ludzi uczyniło go sentymentalnym. Był tkliwy na wszystko, co tylko trącało o struny serca i duszy.

Do tego przyczyniła się jeszcze rozmowa z ojcem, jaką miał zaraz po przyjeździe.

Stefuś bowiem przyjechał do domu z gotowym planem: chciał on namówić rodziców do sprzedania domu, aby za uzyskane w ten sposób pieniądze coś rozpocząć.

Śmierć matki ułatwiła mu jeszcze ten plan. To też razu jednego rzekł do ojca:

— Gniewasz się ojcze, że nie skończyłem szkół jak się patrzy, aby mieć jaki kawałek chleba. Zaraz się z tego wytłumaczę i nie wątpię, że mi przyznasz słuszność!... Skończywszy prawo cóżbym zyskał? Mógłbym zostać urzędnikiem i po długich latach służby dostać pensję, która jeszcze za czasów Maryi Teresy postanowioną była, a która dzisiaj ledwo na mieszkanie wystarczy. Urzędnikiem być, to znaczy więcej niżeli proletaryuszem, bo proletaryusz może sobie pierwszą lepszą robotą coś zarobić, a w najgorszym razie może rękę po jałmużnę wystawić, czego urzędnik uczynić nie może.

— Ależ kochany Stefusiu, adwokaci robią majątki!...

— Robili, kochany ojcze, wtedy, gdy ich na cały kraj było czterdziestu! Dzisiaj jest dwustu, i każdy tylko jak może wiąże dwa końce do kupy, aby się nie rozeszły. I tak często się rozchodzą!

— I cóż masz w miejsce nauki?

— W miejsce nauki mam to, że znam [dobrze świat, i wiem, jakim sposobem gdzie co wyzyskaćby się dało! A to znaczy bardzo wiele, bo daje nadzieję zostania bogatym!

— A któż ci broni być nim!

— Aby kura jaję zniosła, potrzeba jęj dać podkładek! Aby fortuna zniosła nam złote jaja, trzeba jęj złoto podłożyć!... Trzeba mieć w ręku jakiś zakładowy kapitał!

— Ba, zakładowy kapitał! A zkądże go wziąć?

— Najpraktyczniejby było—kamienicę sprzedać!

— Dom sprzedać?... Czyś ty oszalał?... Co ty mówisz!... Dom sprzedać?...

— Nieinaczęj! Dom reprezentuje kapitał martwy. Procent bowiem, który daje, jest w stosunku dzisiejszych procentów tak mały, że go zyskiem nazwać nie można!... Dzisiaj są drogi inne lokowania z korzyścią kapitałów. Kto nie chce pracować, może mieć i dwadzieścia procent, a ktoby umiał tym kapitałem dobrze obracać, to może w kilku latach podwoić go i potroić!

— Wszystko to być może, ale zważ, że na to trzeba—dom sprzedać!

— Tak jest, dom sprzedać. Nie ma w tém tak nic dziwnego. W średnich wiekach, gdy nie było praw i porządku społecznego, kupowano jako majątek srebra i korale, które ukryć można. Gdy miasta otoczyły się murem i fosą, kupowano kamienice, bo tych Tatar ani zły człowiek tak prędko wziąć nie mógł. Dzisiaj byłoby to wielkiem głupstwem, ktoby majątek swój chciał lokować w srebrach i koralach, które żadnego procentu nie niosą, albo trzymał domy w takiój mieścinie jak nasze!

— Co téż ty mówisz! Dom... dom rodzinny to u ciebie głupstwo?

— Głupstwem nie jest, jeżeli za niego można dostać dziesięć tysięcy guldenów!

— I tybyś chciał sprzedać ten dom?... A wiesz ty, że ten dom to twoje *jutro*!

— Tysiące ludzi nie mają domów, a nie są przecież bez *jutra*!

— Nabyta nauka, praca, i rzemiosło jest ich *jutrem*!... A ty co masz?

— Miałbym kapitał, którym potrafiłbym zarobić!

— Kto nie umie zarabiać nie sprzedawszy ojcowizny, ten nie ma *jutra*!... A wiesz ty co się wiąże do tego słowa: ojcowizna?... Ojcowizna, to tradycja po twoich przodkach, która ci tak pocziwie żyć każe, jak żył twój ojciec, dziad

i pradziad,... to grunt, na którym budoje syn co ojciec budować zaczął, to zresztą jedyny port, w którym jako rozbitek schronić się możesz!... Patrzę już na świat lat siedmdziesiąt, i wiele rzeczy widziałem. Widziałem jak podobni tobie sprzedawali tutaj swoje domy rodzinne, i wierzaj mi, że żaden z nich nie wyszedł na tém dobrze! Zeszli, skapieli i nędznie pomarli lub o kiju żebraczym w świat poszli, aby ich swoi nie widzieli!... A ty chcesz dom sprzedać? Chcesz pozbyć się tego legowiska, w które jeleni wraca, gdy go psy po całym lesie nauganiają!... Chcesz się pozbyć tego gruntu, na którym człowiek pocziwym i zacnym być może, a bez którego może łatwo popaść w różne brudy i nałogi!... Czy widziałeś ty kiedy trzeźwego zawsze szlifierza, który z jedném kółkiem staje na ulicy i dom swój na kilka godzin zakłada? Cóż go napędza do pijaństwa? Oto to życie bez jutra, te nieustanne przebywanie w gospodach między pijącymi, ten brak obowiązków, jaki się zazwyczaj ma dla domu! A ty chcesz się tego wszystkiego pozbyć?... Nie, póki ja żyję, tego nie zrobisz!

Zegarmistrz mówił z nadzwyczajną energią, jakiego u niego nawet nie widziano. Oczy jego błyskały dzikim ogniem, jak oczy lwicy, gdy broni swego legowiska i dziatki. Wszelki opór byłby daremny w takim razie, to też i Stefuś nie upierał się, tylko jeszcze więcej rozżalony na świat i ludzi, którzy mu drogę do jego szczęścia zagradzają, wyszedł na miasto.

Była to najniebezpieczniejsza dla niego chwila!

Drogi jego żywota były teraz zupełnie zamknięte. Wszedł w ulicę, która żadnego wyjścia nie miała. Cóż więc było robić na téj ciasnej przestrzeni życia, otoczonej zewsząd wysokimi murami?

Ale ta ciasna przestrzeń miała nad sobą kawałek Bożego nieba! Po tém niebie błąkały się małe chmurki i obłoczki, które mogły i oko zabawić i serce rozweselić, jeżeli inaczej już być nie mogło!...

Był to pierwszy dzień jesieni, ale był ciepły i pogodny. Stefuś chodził po rynku miasta z piersią pełną żalu i bóleści do świata, który go zapoznał i nie umiał ocenić!

Na podcienie wyszła Paulina. Była dzisiaj dziwnie piękną. Miała szarą sukienkę, nieco wykrojoną pod szyją. Kru-

cze jój włosy rozsypały się z dużego wężła i spływały jak kaskada na śnieżną szyję. W rękę trzymała jakąś książkę, w drugiej miała urwaną astrę.

Piwne oczy Pauliny otworzyły się szeroko i spojrzały na przechodzącego Stefusia. Znać uczuł to spojrzenie Stefus, bo nagle obrócił się i w prostym kierunku zbliżył się do niej.

Zaraz po pierwszym przywitaniu, rzekła do niego Paulina:

— Ach, pan tak długo nie byłeś w mieście! Zapewne nawet nie wiesz pan, jak mój ogródek wygląda! A od tego czasu, wiele, bardzo wiele się zmieniło... prócz... prócz mego serca, które zawsze kocha te same kwiatki, które za lat młodocianych i pan lubieś!...

Oczy Pauliny zmrużyły się tutaj i zamigotały dziwnym ogniem do Stefusia. Było w tym ogniu coś magnetycznego, czemu się oprzeć nie było można! Była to potęga przebytych marzeń i cierpień!...

Stefus poszedł za Pauliną. Weszli do ogródka. Ogródek był mały, to jest ogródek poświęcony kwiatom; za nim bowiem rozszerzał się dosyć duży ogród, ale ogród ten rodził tylko to, co do życia koniecznie jest potrzebnem: dla poezyi zaledwie mały kawałeczek można było odstąpić!

W ogródku poezyi było rzeczywiście wiele pięknych astrów, bratków, były krzaczki lewkonii, był rozmaryn i fuksyja, rezeda i heliotrop.

Niejaki czas chodzili oboje pomiędzy grządkami, Paulina zrywała najpiękniejsze kwiatki, zrywała je z boleścią serca, i dawała Stefusiowi, który je brał obojętnie i najczęściej zaraz gubił!

Często wydarzało się, że przy podaniu kwiatka zeszły się razem ich ręce. Rączka Pauliny zawsze zadrżała w takim razie, ale Stefus nie widział tego, a tém mniej mógł to uczuć.

Paulina była dla niego towarzyszką młodości, była przyjaciółką, której mógł się zwierzyć, ale nad to niczem więcej! Jój towarzystwo sprawiało mu przyjemność, jój korallowe usta, które przy śniadój cerze błyszczały jak jutrzienka na szarém niebie uchodzącój nocy, sprawiały mu wpra-

wdzie jakieś przyjemne wzruszenia, ale do tych wzruszeń nie nawiązała się żadna myśl, żadne marzenie!

— Patrz pan jaki to piękny bratek! — rzekła do niego Paulina, trzymając kwiatek w ręku, — czy pan nie widzisz w nim pewnego smutku i melancholii?

— Zkąd pani taka myśl przychodzi? — zapytał Stefuś jakby się dopiero obudził.

— Ta myśl... ta myśl przychodzi mi, gdy sobie wyobrażam, że on jest taki samotny!

— Dlaczegoś samotny? Wszak bratki zazwyczaj w krzaczkach rosną!

— Ale tylko same *bratki*!... Dlaczegoś nie ma koło nich żadnej *siostrzyczki*?

Stefuś uśmiechnął się i zamyslił: jego oczy smutno patrzyły przed siebie.

— Pani dziwnie pojmujesz przyrodę! — odpowiedział z uśmiechem.

— To mi pan wybaczy! Nie posiadam rozległej nauki. Rzeczy w naturze tłumaczę podług siebie! A mnie zdaje się, że nie ma nic smutniejszego na świecie, jak takie samotne życie!...

— Samotne życie?... Prawda, smutne, bardzo smutne!

Stefuś westchnął, Pauliny pierś wezbrała także a kwiatek wypadł jej z ręki.

— Czegoż pani rzucasz ten symbol osamotnienia? — zapytał Stefuś po chwili.

— Bo on sprawił panu boleść! — odpowiedziała Paulina — a ja nie chciałam panu sprawiać żadnej boleści! Wprzódby wolałabym umrzeć panie Stefanie!

— Gdyby tylko tyle było boleści w życiu! — zawołał Stefuś sentymentalnie!

— Jakto? Czy śmierć moja nie byłaby dla pana boleścią?

— Mówiliśmy o bratku, który upadł na ziemię!

Po tych słowach nastąpiło milczenie. Chodzili oboje pomiędzy grządkami kwiatów, patrzeli oboje w jeden kielich kwiatu i tylko na dnie tego kielicha schodziły się z sobą ich oczy.... Żadne z nich nie podniosło oczu, nie spojrzało na drugiego.

Piers Pauliny była pełną, rąbek sukienki uciskał ją. Tłumiła oddech i nie chciała wybuchnąć całą lawą uczucia, która w tej chwili jej serce napełniała!...

Chwila ta była dla niej stanowczą. Od niej mogła cała jej przyszłość zależeć!... Jakże to mówić spokojnie w takiej chwili? Jakże pochwycić te słowa, które gdzieś się rozbiegły?

Powoli zbliżyli się do małej altanki, ocienionej zieloną fasolą.

— Może pan spocznie w altance? — zapytała stłumionym głosem Paulina.

— Czy ta altanka ma dla pani wspomnienia jakich przyjemnych marzeń? — zapytał Stefuś.

— Gdyby te zielone strączki fasoli mówić mogły i moje marzenia zdradziły, musiałabym uciekać od pana zapłoniona wstydem!... Mój Boże, co by też pan powiedział!... Powiedziałby pan, że oszalała Paulina!... Tak jest, nieprawda, toby pan powiedział panie Stefanie?

— Do szaleństwa trzeba wiele, bardzo wiele! Szaleństwo nie przychodzi tak łatwo!

— Być może że u panów! U kobiety ma się rzecz inaczej. Nieraz można patrzeć na kobietę, widzieć ją wesołą i śmiejącą się, mniemać że Bóg wie jak jest spokojną, a ona właśnie może stać na granicy szaleństwa! Cóż? Czy ma się z tego przed światem spowiadać? Czy ona ma zaraz serce swoje odsłonić i wskazać rany tam niezagojone?... Nie, prędzej umrzeć!

Wyrzekłszy to weszła szybko do altanki, i jakby wyszlona usiadła na ławkę. Stefuś poszedł za nią i również usiadł. Na stoliku stały wazonki z heliotropem.

Długi czas panowało milczenie. Paulina oddychała głęboko, Stefuś bawił się heliotropem.

— Panie Stefanie! — ozwała się po jakimś czasie Paulina, — czy masz pan choć trochę przyjaźni dla mnie?

— Przyjaźni? — odparł Stefuś — jak możesz pani wątpić jeszcze pytając się o to towarzysza młodości?

— Czy odpowiesz mi szczerze na wszystko? Słowo przyjaciela!

— Słowo przyjaciela! — odpowiedział Stefuś i położył rękę swoją na dłoń, która tego czekała.

Paulina zatrzymała rękę na swojej dłoni, ścisnęła ją i mówiła dalej:

— Niech mi się pan wypowiada, a ja wzajemnie także to uczynię!

— Spowiedź moja, — odparł z uśmiechem Stefuś, — byłaby dla pani niezrozumiałą!

— Niezrozumiałą?... — podjęła z dumą Paulina — niezrozumiałą?... Być może, że wiele rzeczy, które tylko nauka długa wyjaśnić może, byłyby dla mnie niezrozumiałe! Ale rzeczy, które się pojmują i odgadują sercem, nie będą nigdy dla kobiety ciemne, a tém bardziej, jeżeli serce téj kobiety przechodziło, choćby tylko w marzeniach, najboleśniejsze katusze!

Kiedy te słowa wymawiała wypłynęły z pod rzęs długich dwie jasne łzy i stoczyły się po twarzy.

Stefuś widział te łzy. Uścisnął rękę, którą dotąd trzymał i rzekł smutno:

— Serce, to największe nieszczęście nasze! Ludzie bez serca są szczęśliwi!

— Z tego wnoszę, że masz pan serce, jeżeli to nieszczęście panu dolega!

— Pani wątpiłaś o tém kiedy? Byłbym szczęśliwym, gdyby powątpiewania pani były prawdziwe!

— Przyznam się panu szczerze i otwarcie, że wątpiłam! Miałam bardzo słuszne do tego powody! Tyle lat na przykład, upłynęło w ostatnich czasach od wspomnień naszych młodocianych, a pan ani razu nie wróciłeś myślą do tych wspomnień, nie pomyślałeś pan, że tam w zapomnianém mieście, wśród ruin samotnych żyje kobieta, która nie jedną chwilę razem z panem przepędziła, a która może do tych chwil więcej przywiązywała, niżeli się godziło?...

Stefuś zajrzał w piwne oczy Pauliny, które teraz łzami się napełniły i uczuł jakieś dziwne wzruszenie. Było mu z tém wzruszeniem tak dobrze jak prawie nigdy!...

Podniósł gorącą jej rękę do ust i powolny, długi wycisnął na nią pocałunek.

— Wyznam szczerze, — mówił z wolna, — że wyrządziłem pani krzywdę! Świat, świat szeroki pochwycił mnie w swoje ramiona, jak huragan mały listek oderwany z ga-

łazki, i pomiatał mną nielitościwie z jednéj hemisfery do drugiejsz...

— Ale po tych burzach trzeba raz odpocząć... słodko odpocząć!

Paulina nachyliła się przy tych słowach do jego ramienia tak, że mógł czuć przyspieszoną pulsacyę serca. Biedne to serce mówiło jemu w téj chwili wiele, tak wiele!...

— Odpocząć? mówisz pani! — odparł z ironicznym uśmiechem, — gdzie mógłbym odpocząć? Czy czytałaś pani kiedy o żeglarzach morskich, którzy na stałym lądzie dlatego usnąć nie mogą, że ich żadna fala nie kołysze, żadna burza ich życiu nie zagraża?...

— Czyż wiecznie burzy i burzy?... Patrz pan! Ten mały ogródek, te kwiatki, ta altanka, czyż nie może pomieścić prawdziwego szczęścia człowieka? Czyż nie można tutaj kołysać się słodkimi snami, rozkoszném marzeniem i pozwolić innemu sercu również kołysać się takim samym szczęściem, którego ono tak gorąco pragnie?...

Stefuś czuł w téj chwili jeszcze szybszą pulsacyę serca przy swoim ramieniu, czuł nawet gorący oddech tych ust, które te słowa wymawiały!...

Zajrzał po raz drugi w te piękne, piwne oczy, które się przed nim bynajmniej nie zmrúżyły! Otworzyły się dla niego jeszcze więcej i pozwoliły patrzeć w siebie, patrzeć aż do dna!...

Dziwne myśli przyszły w téj chwili Stefusiowi do głowy.

— Czyżby nie lepiej było, — pomyślał sobie, — z wysokich marzeń spuścić się w tę cichą przystań życia i tu rozbić swój namiot?

Snać Paulina odgadła te myśli, bo ścisnęła go za rękę i z rozkoszą odetchnęła.

— Czytałam nieraz o tém, — mówiła jakby przez sen z zamrúżonemi oczyma — czytałam nieraz o tém, że ludzie gdzieś daleko, za górami, szukają szczęścia swego, a ono tymczasem jest tak blisko nich, tak bliźniutko!... O gdyby to wiedzieć gdzie jest to blisko! Czy ono nas czasem nie ma! Czy nie wydaje się nam czasem to bliżkiem co jest dalekiem, a dalekiem to, co właściwie jest tuż przy nas?... Panie Stefanie, czy nie myślałeś kiedy o tém?...

Do tego zapytania dodany był znowu uścisk ręki, który Stefuś sumiennie oddał.

— W szczęściu i w rzeczywistości, — odparł po chwili, — są te same optyczne złudzenia. Czasami wyciągamy ręce po dalekie mary i chcemy je uchwycić, a czasami kaleczymy się o to co nam jest tak blizkie!...

Wymawiając te słowa przychylił lekko głowę, która oparła się o miękkie ramie Pauliny.

— Rany takie przecież nie są śmiertelne! — szeptała mu Paulina do ucha.

— Są słodkie i rozkoszne, — odszepnął Stefuś, — ale mogą również zabić!

— Ach nie, — ledwo zrozumiałe szeptała Paulina, — rany takie nie zabijają! Przeciwnie, one goją, one mogą wszystko zagoić, wszystkie cierpienia i boleści zmasać i otworzyć niebo, gdzie są tylko wybrani i aniołowie!..

Ostatnie słowa konały z wolna coraz cichszym szmerem i urwały się w końcu nagle jakby zestrąszone nagłym gestem Stefusia....

W tej chwili ozwał się głos babuni, który Paulinę wołał: Paulina i Stefuś powstali szybko.

Gewontowa była już w ogródku.

Po tej rozmowie w altanie nastąpiło kilka dni cichych marzeń i snów przyjemnych.

Czwartego dnia zaszła w domu zegarmistrza wielka zmiana.

Nie wiedzieć, czy to ze zwyczajnego biegu rzeczy tak wypadało, czy propozycja sprzedaży domu przez Stefusia tak silnie na nerwy mózgowe starego zegarmistrza działała: ostatni burmistrz miasta z wolnych wyborów został po raz wtóry tknięty apopleksyą.

Teraz już wszystko było nadaremne. Daremnie stary piekarz znowu ze szczotką i gorącym octem przyszedł, daremnie wołał mu do ucha, że prawdziwy katolik nigdy tak milczkiem nie powinien z tego świata schodzić; daremnie mu przedstawiał wszelkie złe następstwa takiej „nagłej i niespodziewanej śmierci,” przeciw której codziennie w kościołach się modlą: zegarmistrz tym razem już nikogo nie usłuchał i leżał spokojnie jak zegar, któremu nagle sprężyna pękła!

Paulina rzuciła się na kolana i zaczęła ręce nieboszczyka łzami oblewać, jakby był jej ojcem; Stefuś także zapłakał, bo chwila tak uroczysta tylko raz w życiu zdarzyć się może!

Kiedy już stary piekarz dostatecznie się przekonał, że sąsiad jego i przyjaciel na prawdę na drugi świat się wyknął i już nawet drzwi za sobą zaparł, wyprawił wszystkich płaczących z izby i sam zajął się wyprawą ostatniego z Tarłów burmistrza.

Kazał go należycie ubrać i sam własną ręką włożył na niego czamare granatową z pętlcami, jak na ostatniego burmistrza przystało. Podkreślił mu nawet wąsy, aby i po śmierci wyglądał uczciwie i poważnie. Potem złożył mu ręce w krzyż i dał mu do trzymania obrazek na blasze połącanej Najświętszej Panny Maryi z Jasnej Góry, królowej i pocieszycielki utrapionych.

A gdy już świece były pozapalane, i ludzie pobożni na nawiedzenie się cisnęli, ukląkł stary piekarz przed katafalkiem pierwszy, bo jemu z prawa należał się pierwszy głos do Boga, za spokój duszy nieboszczyka!... I głośno odmówił trzy razy „Anioł Pański.”

Dwa następne dni spędził Stefuś w domu Gewontowej. Staruszka pocieszała go jak mogła, czytała mu Pismo święte, opowiadała mu ciekawe historye o duchach, które czasem z drugiego świata przychodzą do osób ukochanych i dają im na drogę życia tajemne znaki.... Szeroko i długo opowiadała mu prawdziwe zdarzenie o Radziwille, który sam na własne oczy widział całe legiony duchów, a nawet zwyciężką z nimi odbył walkę szablą w Rzymie poświęcaną....

Paulina okazywała mu przywiązanie siostry, płakała, a nawet sporządziła czarną sukienkę, którą na pogrzeb wziąć miała! Jej serce jednak czegoś się trwożyło, sama nie wiedziała dlaczego? Zdawało się jej, że to zdarzenie może źle wpłynąć na ostatnią stawkę jej marzeń!...

Trzeciego dnia długi, nieprzejrzany orszak zebrał się przed domem nieboszczyka zegarmistrza. Wszystkie cechy wystąpiły z chorągwiami, czarną krepą pokrytymi. Wszyscy wzięli z sobą świece jarzące, aby ostatniemu z Tarłów burmistrzowi zaświecić do grobu i błagać Boga, aby mu tak samo światłość wiekuista świeciła!...

Świętej pamięci burmistrz, za czasów swego urzędowania założył za pomocą składek publicznych mały szpitalik dla ubogich i kalek miejscowych; szpitalik ten stanął teraz w całym komplecie przed jego domem, a byli tam nawet i tacy, którzy tylko się czołgali!...

Nawet najętniejsi izraelici w rozrzuconych kupkach stali przed domem, aby pamięci pocziwego człowieka oddać cześć należytą. Wiele kobiet przybrało żałobę, aby okazać że nieboszczyk był czémś więcej niżeli zwykłym zegarmi-strzem i mieszczaninem!

Najgłębszy żal wyrażał się na twarzach mieszczan. Był to jeden z nich, kość z kości. Śmierć bezlitosna wydarła między nimi lukę, jakby granat nieprzyjaciela. Któż tę lukę teraz zastąpi? Któż dzisiaj z taką jak Tarło godnością poniesie baldachim nad Ukrzyżowanym Zbawicielem świata? Któż będzie sędzią, aby bez trybunałów załatwiać między nimi spory domowe o graniczne mury domów i miedzę ogrodów?...

Ponuro, z przytłumionym śpiewem grobowym ruszył orszak z przed domu. Czterech patrycyuszów miasta niosło trumnę na barkach, bo nieboszczyk często na barkach swoich dźwigał sprawy tego starego grodu!...

Za trumną szedł Stefuś z głową do ziemi spuszczoną. Był wzruszony, bo cały żywot ojca jego niejako streszczał się w tym pogrzebie!...

Na cmentarzu powiedział kanonik obszerną mowę pogrzebową.

Mówił wiele o cnotach i zasługach zmarłego, wyliczał wszystkie jego dobre czyny. Pórównywał go do przodującego robotnika na łanie, z którego wszyscy robotnicy przykład brali i za nim zdążali. Życie jego nazwał skarboną, w którą każdy dzień padał jak pieniądz brzęczący, aby kiedyś być policzonym i utworzyć znaczny kapitał pracy i zasługi!

Potém zwrócił się mówca pogrzebowy do Stefusia jako do tego, który jest spadkobiercą cnót i zasług nieboszczyka i zachęcił go do naśladowania ojca we wszystkich drogach żywota. Postawił mu przed oczy tych wszystkich, którzy dzisiaj z płaczem zmarłego żegnali, aby ten płacz i szacunek zagrzał go do podobnych czynów, do wypełniania w ten sposób obowiązków, jak je wypełniał nieboszczyk ojciec!...

Po tych słowach rzucił kanonik grudkę ziemi, inni ze łzami za nim to czynili, i wkrótce samemi temi grudkami zasypał się grób, aby na wieki zamknąć nieboszczyka!

Po pogrzebie wrócił Stefuś do samotnej izdebki. Chciał dzisiaj sam pozostać.

Wrażenie pogrzebu i tego co słyszał rozbudziło w jego duszy wiele rzeczy o których dawniej nawet nie myślał. Różne obrazy przesuwały mu się przed oczyma. Myślał o ojcu, o jego spadkobierstwie, o łzach pocziwych mieszczan i o sąsiednim domu.

Myśli te i marzenia nie dały mu usnąć. Słyszał północ bijącą na starym ratuszu, słyszał nocnych stróżów, dających sobie hasło, słyszał jęczący głos wiatru, który po drzewach ogrodu przesuwał się z zimnym oddechem jesieni i po uschłych liściach szeleścił....

Wreszcie sen dobroczynny zamknął mu znużone powieki.

Teraz chciała dusza jego, w smutku pogrążona, odechnąć po smutnych wrażeniach dnia inném, weselszém życiem! Zebrała wszystkie lepszych dni wspomnienia i bawiła się niemi jak dziecię rozłożonemi cackami. Porządkowała je i rozrzucała i tworzyła z nich nowe kombinacje.

Najprzód otworzył się przed nim salon baronowej, gdzie tyle przyjemnych chwil przepędził! Owe przejażdżki i wycieczki do Zofijówki i na Wysoki Zamek, owe kunsztowne rozmowy i spojrzenia odżyły mu w pamięci, jakby to wczoraj dopiero się stało!...

Po salonach baronowej nastąpiły inne wspomnienia. A było ich wiele, bardzo wiele, a wszystkie były tak przyjemne, tak rozkoszne!...

Świat tych wspomnień to świat inny od tego, w którym teraz był wśród ruin i upadku! Świat tamten świetny i błyszczący, on porywa i przyciąga, a ten zimnem wieje i odpycha!...

Śród tych rojeń rozkosznych obudził się. Niestety! Jakaż to smutna rzeczywistość otoczyła go zaraz? Gdzież się podziały owe złoczone komnaty, owe dywany perskie, po których we śnie tak dumnie stąpał? Czyż uboga izdebka stariej Gewontowej mogła mieć takie dywany?...

Ktoś lekko zapukał do drzwi. Za chwilę otworzyły się drzwi i długa, ruda broda wsunęła się do izby.

— Czego chcesz? — zapytał Stefuś zegnając ulatujące złote marzenia nocne.

— Ny, — odpowiedział izraelita z rudą brodą, — czy panicz mnie nie zna, czy co? Jestem Jankiel domowy faktor nieboszczyka ojca!... Daj mu Boże szczęście na drugim świecie! Ny, to był człowiek, jakich nie było i już nie będzie w całym mieście!...

— Dziękuję ci Janklu!

— Na co dziękować? Nie ma za co dziękować! Nieboszczykowi to się należy i każdy mu według tego zapłaci. Żywot jego to tak jak „Prima-weksel,” co to tylko okazać i zaraz zapłacić!... Był to bardzo poczciwy człowiek, ja sam wczoraj płakałem jak *bucher*!

Stefuś sięgnął pod poduszkę, aby Jankla wynagrodzić za jego afekt tak szczerzy.

— Dziękuję panu, — rzekł Jankiel chowając guldena — abyś pan był zdrow i z takim żalem był chowany, jak wczoraj nieboszczyk ojciec!... Dziękuję panu... ale ja tu nie po to przyszedłem!

— Czegóż chcesz?

— Ny, czego ja chcę, ja nie nie chcę. Ja tylko mówię, że nieboszczyk pan ojciec umarł, więc trzeba będzie dom sprzedać!... Mam kupca, który zaraz gotówką zapłaci!

— Ja domu nie sprzedam! — prędko odparł Stefuś i zarzucił kołdrę na ucho.

— Co to jest, nie sprzedam? Na co panu tego starego domu?

— Będę w nim mieszkał!

— Ny, to być nie może! Cobyś pan w naszym mieście robił? Czy tu jest kto taki, z kimby pan mógł żyć? Co innego ojciec! Ojciec był człowiekiem staréj daty, poszedł do piekarza, do rzeźnika i z niemi rozmawiał; pan tak *fein* edukowany, pan przyzwyczajony do innego życia, do innych ludzi! Co panbyś tu robił? Tutaj szkoda pana.

Sny nocne i marzenia zaczęły znowu stawać Stefusiowi przed oczy.

— Ja mam kupca, który zaraz zapłaci *Geld auf den Tisch*! Da dziesięć tysięcy!

Stefuś na to nie odpowiedział. Przypomniiał sobie, że to był plan jego, z jakim do ojca przyjechał. Ojciec nie przyjął tego planu, ale teraz, gdy już ojca nie ma, coś mu staje na przeszkodzie aby do tego planu nie wrócić?...

— Kupiec zapłaci w takich pieniądzach jak pan żąda. W papierach? W papierach. W banknotach? to także dobrze! Jak pan sobie życzy!... Papiery przynoszą większy procent! A gdybyś jeszcze pan chciał za te pieniądze w Borysławiu nafty szukać, to mógłbyś pan natrafić na taką żyłę, żeby i wieś za nią kupić można!...

Stefuś myślał ciągle. Pomiędzy rozkoszne dawniejsze obrazy wsunęła się teraz i Paulina.

— Nie, to być nie może! — pomyślał sobie, — szczęścia tutaj dla mnie nie ma! Moje szczęście jest na szerszym świecie! Mamże wszystko zakopać tutaj, com długoletnią pracą zdobył?... Nie, to być nie może! W żaden sposób być nie może!

— A jeżeli pan chce złotem holenderskiem, to kupiec także zapłaci! — kusił dalej rudobrody.

— Przyjdź jutro! — zawołał Stefuś i równemi nogami wyskoczył z łóżka.

Za dwa dni był już dom sprzedany. Pieniądze zamknął Stefuś do torebki podróżnej i pożegnawszy dosyć obojętnie płaczącą Paulinę wyjechał z miasta, aby może nigdy nie wrócić!...

Owe *jutro*, o którym ojciec niegdyś tak wymownie mówił, miał on już w torbie podróżnej i właśnie nad tém przemyślał, aby to *jutro* jak najlepiej pomnożyć!...

A kiedy czekając na stacyi kolei właśnie o tém *jutrze* myślał, rzucił okiem na dziennik niemiecki, który leżał na stole.

W tym dzienniku uderzył go w dziwacznych ramkach umieszczony inserat.

Wziął dziennik do ręki i zaczął czytać.

Inserat miał ramki złożone z samych skrzypek i baseli, na których grali aniołkowie w rodzaju Kaulbacha. Miało to oznaczać pewne niemieckie przysłowie o szczęściu. Inserat miał tytuł oznaczony przez sześć wykrzykników, między którymi stało:

!!! Sensacja !!!

„Życie człowieka składa się z chwil. Każda z tych chwil jest częścią jego kapitału. Miliony takich chwil traci człowiek marnotrawny! Gdyby ich rozumnie i skutecznie użył, mógłby zostać milionerem! Milionery nie rodzą się. Ubodzy stają się nimi! Ale jakie drogi prowadzą do milionów? Otóż sekret, który wyjawia pan X*** za bardzo umiarkowane honorarium.

„Pan X*** nie jest żadnym szalbierzem. Jest to człowiek sędziwy, który miał niegdyś także miliony, ale dzisiaj nadzwyczajnym zbiegiem stracił te miliony a jest za stary, aby zbierać zaczynał. Dzisiaj chce tylko użyć doświadczeń swoich na korzyść bliźnich, a łącząc z temi doświadczeniami nadzwyczajną, psychologiczną znajomość ludzi i ich różnorodnych talentów, jest w stanie w przeciągu trzech dni każdemu zgłaszającemu się osobiście, wskazać drogi i środki, które w jak najkrótszym czasie mogą go uczynić bogatym!

„Ulica Wałowa 136. Frankfurt nad Menem.”

Stefuś przeczytał ten dziwaczny inserat kilka razy.

— Czyż to nie jest istny palec Boży? — pomyślał sobie, — czyż ten jakby zesłany od Boga człowiek nie obiecuje mi wyraźnie dać to, o czém tak gorzko marzyłem, a czego do szczęścia ludzkiego koniecznie potrzeba, jak miałem tego w życiu dowody?...

Stefuś myślał jeszcze chwil kilka. Tymczasem ozwał się dzwonek. Pociąg zbliżał się....

Stefuś szybko pobiegł do kasy.

— Proszę o bilet... do Frankfurtu!

— Do Frankfurtu?... Nie można! Tylko do Granicy!

— Dobrze! Więc do Granicy!

Za chwilę ozwała się trąbka, za trąbką dzwonek, a potem świsnęła parowa piszczalka i pociąg zniknął w kłębach dymu i pary, jak ów grzeszny potwór w Apokalipsie świętego Jana!...

XIII.

Z a s z c z ę ś c i e m!

Po wyjeździe Stefusia było w mieście bardzo smutno. Mieszczanie stracili jeden dom w rynku, który dotąd jak naróżna reduta zasłaniał cały szereg walących się domów zubożałych patrycyuszów przeciw napływowi nowych mieszkańców miasta, którzy nie znając jego tradycji, obojętnymi byli na wszelkie sprawy publiczne!

W domu Gewontowej był także smutek nie mały. Paulina zachwiała się pod tym ciosem, który jęj ostatnie nadzieje odebrał, i położyła się do łóżka z wielkiem umartwieniem babuni.

Leżała przez kilka dni jakby martwa i skamieniała. Zdawało się, że wszelkie życie uciekło naraz z tego pięknego i silnego ciała i pozostały tylko zimne, marmurowe kształty.

Czarna melancholia owładnęła jęj umysł. Nie wymówiła ani słowa. Żadna skarga nie wyszła z jęj ust bladych i zimnych. Wszelkie prośby i zakłęcia Gewontowej były daremne.

Piątego dnia wstała i ubrała się. Rumieniec wrócił na jęj twarz, ale w oczach piwnych pozostał jakiś blask dziwny, jakiego dawniej tam nie było.

— Zapowiadam babuni,—ozwała się po pięciu dniach po raz pierwszy,—że jestem zdecydowaną coś z sobą zrobić. Dłużej tak rzeczy pozostać nie mogą. Później byłoby za późno!

— Cóż chcesz zrobić? Cóż może kobiéta z sobą zrobić?

— Cobym zrobić mogła, tego nie wiem, ale wiem co w dzisiejszém położeniu mam przed sobą!

— Cóż widzisz przed sobą!

— Widzę przed sobą to, co tylko najokropniejszego kobietę spotkać może: widzę stare panieństwo!

Gewontowa westchnęła.

— Mam rok dwudziesty szósty, — mówiła dalej Paulina, — i wszelką drogę do jakichś nadziei zamkniętą!

— Alboż ty jedną jesteś na świecie?

— Właśnie dlatego, że nie chcę tak cierpieć jak inne!

— Cóż uczynisz? Stanowisko kobiety jest bierne. Jój wolno tylko cierpieć!

— Tylko cierpieć? — z namiętnością odrzekła Paulina a oczy jój zaiskrzyły się — tylko cierpieć? Któż rzucił tę klątwę na kobietę? Czyż uczynił to Bóg, o którym nas uczą, że jest dobrotliwym ojcem wszystkich ludzi? Czyż jest tylko ojcem jednej połowy rodu ludzkiego? Czyż kobieta jest wyklętą od Jego opieki?

— Co za grzeszne myśli przychodzą ci do głowy!... Ty świata nie odmienisz!

— Świat! Cóż jest ten świat? Czy są to te przepisy i zwyczaje, które z kobiety robią ofiarę?

— Kobieta nie ma sił, aby szła przebojem!

— Tak w nas wmawiają, a my wierzymy i kładziemy głowę na stos ofiarny!

— Ja ciebie wcale nie rozumiem!

— Rzecz jasna i prosta. Życie nasze i stosunki zasklepiły się już. Nic dla nas nowego tu nie zabłyśnie. Wiemy naprzód każdy dzień, każdy miesiąc a nawet rok cały, co będzie. Jest to poprostu grób, w którym powoli zamieramy! Tak powoli konać nie chcę!

— Przecież mogą się zmienić widoki!

— Żadnej nadziei nie ma! W mieście naszym jest już ograniczona pewna liczba ludzi. Ci ludzie wydali na nas wyrok śmierci i pomijają nas jak nieboszczyków! Mieszczanin do nas nie przyjdzie, bo noszę modny kapelusz i rękawiczki, i mięsa na mieście sprzedawać nie będę. Urzędnik także na mnie nie spojrzy, bo goni za posagiem a wie, że z naszego domu mało co zostanie!

— Trzeba się zastosować do położenia, jeżeli inaczej być nie może!

— Można by to zrobić, gdybym była prostą mieszczańką!

— A czémże jesteś obecnie?

— Czém jestem?... Nie wiem! Ale wiem, że we mnie płynie krew niepoślednia, która nie pozwala mi przepełzać jak płaz całe życie! Czuję to w każdej chwili i zdaje mi się

że mam prawo do innego losu, na jaki mnie skazano! I spodziewam się, że tego dokażę, jeśli zerwę ze wszystkiém, co mnie dotąd wiązało! Trzeba coś stawić na kartę, jeśli większy los wygrać chcemy!

— Są to skutki melancholii po odejździe Stefana a nie więcej! Za dwa dni zapomnisz o wszystkiém! Zmów pacierz i koronkę do Najśw. Panny Maryi, pocieszycielki utrapionych!

Na tém skończyła się rozmowa babuni z Pauliną.

W kilka dni potém zaczęli sąsiedzi szeptać sobie do uszu dziwne wieści.

Z sąsiedniej stacyi wojskowej przyjeżdżał do miasta często pewien młody oficer od ułanów i w towarzystwie krewnych aptekarza i pocztmistrza przechadzał się po rynku.

Młody ten porucznik był w pewnym względzie ważną figurą w mieście. Miał czarne wąsiki zawsze z fantazją do góry zakręcone, twarz tak rumianą jak rajskie jabłko i włos bujny, wonnym olejkiem wysmarowany. Prócz tego nosił zawsze białe rękawiczki i miał zwyczaj z pewną ostentacją oglądać się za każdą młodą kobietą i głośno jęć wdzięki stylem żołnierskim chwalić i specyfikować.

Był to istny bohater. Wszystkie młode żydówki w nim się na zabój kochały, nazywając go swoim językiem arystokratycznym: *Der schöne Ulane!*

Piękny ułan był prawdziwym Lowelasem miasta. Nie było ani jednej ładnej twarzyczki, którejby nie znał i publicznie się jęć nie kłaniał. Postrach wielki padał na zajętych spekulacją izraelitów, gdy porucznik w mieście się pojawiał. Mówią nawet, że kilku z nich dlatego zbankrutowało, że więcej żon swoich, niżeli interesów pilnować musieli.

Otóż o tym poruczniku i Paulinie zaczęli teraz mówić w mieście. Sąsiedzi widzieli, że Paulina dosyć często na podcienie wychodzi z porucznikiem, który na umówiony czas się zbliża, długo bez babki rozmawia. Razu nawet jednego ktoś widział, że porucznik wsunął jęć do ręki jakiś liścik w małym formacie, a Paulina nietylko liścik ten przyjęła, ale nawet długo za rękę porucznika trzymała. Inni nawet więcej jeszcze mówili, ale temu nie wierzyli sąsiedzi, bo Pau-

lina była dotąd dumną i nieprzystępną i z nikim nie wdała się w bliższe stosunki.

Jedną tylko rzeczy sąsiedzi pojąć nie mogli. Nie mieli wcale za złe dziewczynie, jeżeli młodego kawalera sobie upodoba, który ją do ślubu zaprowadzić może. Nie widzieli w tém także nic złego, jeśli ten kawaler przed ślubem za rączkę ją ściska, bo przecież musi być między nimi jakieś porozumienie. Tego tylko zrozumieć nie mogli, że Paulina wybrała sobie na to porucznika od ułanów, który prócz wąsów i rumianej twarzy nie ma w kalecie ani złamanego szeląga, jak to w mieście o tém żydkowie doskonale wiedzieli. Tymczasem według ustaw wojskowych nie wolno jest żenić się oficerowi, dopóki na przypadek śmierci swojej nie złoży pewnej kaucyi, któraby wdowie dalszy żywot zabezpieczyć mogła.

Paulina jednak nie miała takiego posagu. W jakimże celu odbywały się te konszachty? A odbywały się w ten sposób, jakby się z niemi wcale nie tajono!

Kiedy jeszcze sąsiedzi w ten sposób w braku innych wiadomości, sprawą Pauliny i rumianego porucznika się zatrudniali, oszołomiła ich nagła wieść, która jak bomba padła wśród miasta.

Oto pewnej miesięcznej nocy, gdy księżyc był na pełni, wykradł porucznik Paulinę i oboje udali się w kierunku nie-wiadomym!

I była to rzecz istotnie prawdziwa.

Tejże bowiem samej nocy miesięcznej, owinięta żołnierską burką przybyła Paulina w noc ze swoim szczęśliwym towarzyszem na stacyą kolei żelaznej, zkąd mieli wyruszyć do Edenu, szczęśliwości ludzkiej.

Ponieważ na stacyi kolei żelaznej miała szczęśliwa para zaczekać kilka godzin na pociąg idący w tym kierunku jaki był między kochankami umówiony, kazał porucznik z prawdziwą ułańską grzecznością przygotować osobny apartament, w którym posilając się do dalszej podróży mogliby ujść zbyt ciekawie śledzącym ich oczom.

Gdy Paulina drzwi pokoju otworzyła i stół nakryty zobaczyła, zrzuciła burkę żołnierską, a wydobywszy natomiast płaszcz swój podróżny, rzekła do porucznika:

— Najprzód dziękuję panu za wyświadczoną przysługę, a potem oświadczam, że nic do ust nie wezmę i tyle tylko tutaj zabawię, ile czasu potrzeba, abym pana pożegnała!

— Pożegnała? Cóż to znaczy?

— Tak jest, tutaj pana pożegniam i odjadę pociągiem, który za kilka minut odchodzi!

— Wszak umówiliśmy się inaczej!

— Co było między nami powiedziane, to wszystko mażę w tej chwili!

Porucznik osłupiał.

— Nie, pani żartujesz! Nieprawdaż że żartujesz droga Paulino?

Tu zbliżył się do niej i chciał objąć jej piękną kibić.

Paulina cofnęła się: wydobyła z poza rąbka mały, damasceński sztylecik.

— Odstąp pan... przysięgam panu że nie żartuję!

Porucznik zdziwiony odstąpił dwa kroki. Widział rzeczy, które ani na myśl mu nie przyszły. Nie mógł sobie wytłumaczyć słów i postępowania Pauliny.

— Jakąż scenę odgrywasz pani? — zapytał patrząc na nią zdziwiony.

— Bądź pan pewny, że nie z komedyi! — odpowiedziała Paulina a łzy błysnęły w jej oczach.

Widok ten dziwne wrażenie sprawił na poruczniku. Porucznik nigdy w życiu kobiecych łez nie widział. Na łzy nie miał ani słów, ani broni. Stał i milczał.

Paulina otarła szybko łzy, schowała sztylecik w zanadrze i rzekła:

— Rozjedźmy się w przyjaźni panie poruczniku! — i podała mu małą rączkę.

Widząc że nieprzyjaciel kapitułuje nabrał porucznik buty, podkręcił wąsika i ozwał się:

— Najprzód niech mi się pani wytłumaczy, dlaczegoś w ten sposób zażartowała ze mnie?

Paulina rozśmiała się z butnej postawy adwersarza.

— Boś na taką nauczkę zasłużył poruczniku! — odpowiedziała z uśmiechem.

— Jaką nauczkę? Za co zasłużyłem?

— Rzemiosłem twojém było mości poruczniku uwodzić biędne kobiety; otóż teraz trafiła kosa na kamień: zamiast uwieść, jesteś pan uwiedziony!

— Przecież ja dla pani miałem najszczerze zamiary!

— Jakie najszczerze zamiary? Jakież były te zamiary? Czy chciałeś pan się ze mną ożenić? Wszak pan wiedziałeś, że jestem ubogą, że nie mam posagu, bez którego panu nie wolno się żenić?

Porucznik nie mógł przyjść z zadziwienia do siebie.

— Ale pocóż narażałaś się pani na... złą opinią?

— Bo chciałam aby opinia moja była gorszą odemnie!

— Tego już nie pojmuje!

— Pan jesteś żołnierzem. Powiedz mi pan, kiedy żołnierz jest w boju mężniejszym: czy wtedy gdy ma w odwodzie schronienie bezpieczne, czy wtedy, jeśli go wcale nie ma?...

— Rozumie się, wtedy, jeśli go nie ma!

— Otóż w tém masz pan odpowiedź. Chciałam się wybrać na walkę z życiem. Ażeby zaś w téj walce pozbyć się wszelkiej pokusy powrócenia w miejsce, z którego wyszłam, chciałam jak wódz ogłędny... mosty za sobą spalić!

— I mnie pani użyłaś za narzędzie do tego planu swego?

— Nie gniewaj się pan, aleś zasłużył na to!

— Cóż ja teraz powiem w mieście?

— Mów pan co chcesz, ja tyle tylko wiem, że mam już wszelki powrót do domu zagrodzony, a o to mi jedynie chodziło! Co o mnie w mieście mówić będą, o to nie dbam!

— Więc pani chcesz się zupełnie *emancypować*?

— Nazwij pan to jak chcesz. Ja chcę sobie tylko od świata wywalczyć to, do czego mam prawo! Dotąd ciasne granice obyczajów i praw nie pozwalały mi dopiąć tego celu; dzisiaj rozszerzam sobie te granice, może być że nie właściwym sposobem, ale to mniejsza! Każda rewolucya uznana była za sposób niewłaściwy, a przecież skutki jęj przyjęto!

Porucznik myślał nad mądrymi słowami Pauliny, chociaż nie zupełnie je rozumiał.

Tymczasem ozwał się dzwonek po raz pierwszy.

— A teraz żegnam pana—ozwała się Paulina podając mu rączkę, nie gniewaj się pan na nieszczęśliwą kobietę i miej pan lepsze niżeli dzisiaj sukcesy!

Porucznik nie wiedział co odpowiedzieć. Uściśnął małą rączkę i wyszedł na peron, aby z westchnieniem pożegnać uchodzącą lokomotywę!

A lokomotywa strzałą piorunu mknęła naprzód, a za nią jak długi szary ogon ciągnął się szereg lekko kolebiących się wagonów...

A w jednym z tych wagonów siedziała w szarym płaszczyku młoda kobieta i marzyła:

...Przeczytałam tyle romansów i powieści! Tyle w nich kobiet było szczęśliwych, które ani pracą, ani majątkiem tego szczęścia nie dostąpiły, tylko gorącym sercem, gorącą miłością! W książkach tych tylekroć nazwaną jest kobieta ideałem życia! Czyż dla mnie ma być tak niebo okrutne, aby się nikt na szerokim świecie nie znalazł, komubym mogła być owym ideałem? Czyż moje serce gorące i wrzące pragnienie miłości nie może nigdzie napotkać mężczyzny, którego dostatki mogłabym ukoronować miłością, na jaką kobietę stać tylko można? Czyż może ten świat być rzeczywiście tak podłym i nikiemnym, aby nie ocenił tego skarbu, który w duszy mojej dla niego chowam?... Nie, to być nie może! Tylko uszczuplenie praw naszych trzyma te skarby nasze pod korcem, tylko narzucony nam rygor obyczajów robi z nas ofiarę! Na otwartym morzu życia możemy się odsłonić, możemy te skarby rozłożyć przed światem, aby je każdy mógł widzieć i niemi się zająć!... A więc dalej w świat szeroki! Wkorzeniony w nasz umysł nałóg do ukrywania się w więzieniach domowych, do cichych biernych cierpień bez bohaterstwa, ten nałóg już zostawiłam za sobą! Reszta zawisła odemnie!...

Tak marzyła młoda kobieta z piwnemi oczyma w szarym płaszczyku.... a porucznik odjechał tymczasem do swojej stacyi. W mieście przez kilka dni wcale się nie pokazywał, a gdy go towarzysze o Paulinę pytali, marszczył brwi i nie odpowiadał.

XIV.

B e z j u t r a .

Prawie w tym samym czasie, gdy Paulina w szeroki świat się udała, aby tamże nie pracą, ale potęgą serca swego

o szczęście się dobijać i w tym celu wszelkie mosty do możliwego kiedyś odwrotu zerwała: wjeżdżał Stefuś do starożytnego niemieckiego grodu, aby tamże kupić sobie sposób zostania bogatym, gdyż samo serce, jak mniemał, na świecie nie zdziałać nie może! Frankfurt, owa półwiekowa stolica naczelnéj władzy całej rzeszy niemieckiej, stolica, w której ta władza tak słodko i spokojnie pod pierzyną zasypiała; owe dumne ze swojej niepodległości miasto bankierów i kupców—przywitało galicyjskiego Jazona przychylnie.

Już zdala mrugały na niego czerwone dachy i czerwone kominy, mury wysokie w zęby wykrojone uśmiechały się wdzięcznie, a głuchy gwar, który go dolatywał, był podobny do chórów jakiejś wielkiej opery!.

Frankfurt cieszył się widocznie z przyjazdu Stefusia. Niemki, które spotykał, otwierały usta i pokazywały mu zębki z całą szczerością germańską. Niemcy w wysokich kapeluszach pozdrawiali go, nawet ładowne bryki i psami ciągnięte wózki ustępywały mu się z drogi.

Jakże Frankfurt, stolica Rzeszy ludzi pracowitych i zysku chciwych, nie miał go witać uśmiechem i pozdrowieniem, jeśli on przywiozł mu swoje, jak mówił nieboszczyk zegarmistrz „jutro”, przemienione na pieniądze, które w torbeczce spoczywały? Jakże te dachy ząbkowane i kominy czerwone nie miały mrugać do niego i wzajem do siebie?...

Stefuś przeszedł kilka wązkich ulic w szerz i wzdłuż, patrzył trochę na wysokie, starożytne budowle; wreszcie zatrzymał się na ulicy Wałowej.

Była to jedna z najciemniejszych, wązkich uliczek miasta. W środku téj uliczki mieścił się duży okopciały browar, który całą przestrzeń ulicy napełniał słodkawą parą pochodzącą od siodu. Browar ten wśród miasta, był dla mieszkańców bardzo niedogodny. Właściciel jednak opierał się na przywileju swoim, który średnich wieków sięgał, kiedy browar tenże stał jeszcze w czystym polu, jak to nazwa ciasnej poprzecznej uliczki „Feldweg” jasno okazuje. Miasto szanowało przywileje i browar został browarem. Ponieważ jednak Niemiec, jak mówią i z sąsiedztwa piekła skorzystałby potrafił, to téż i właściciel przypartego do browaru domu umiał z tak niekorzystnego sąsiedztwa skorzystać.

Pewnego bowiem dnia okazał się we wszystkich miejscowych dziennikach inserat, w którym znanego nazwiska lekarz zaleca wszystkim chorym na płuca najmować mieszkania w pobliżu tego browaru, dowodząc że para ze słodu wciągana przez usta, goi nawet już znacznie rozwinięte suchoty.

Po tym inseracie zaludniła się natychmiast ulica, a w godzinach, gdy parę z kotłów wypuszczano, można było widzieć w każdym oknie starego Niemca z otworzoną gębą, aby jak najwięcej wciągnąć w siebie tej ambrozji piwniej!

Mówią nawet, że były z tego powodu ciekawe processy o nieumiarkowane spożycie tej pary dobroczynnej przez niektórych lokatorów, którzy ją nie tylko do płuc swoich, ale nawet i do pomieszczeń wciągali za pomocą pewnych sztucznych wentylatorów!

Gdy Stefuś tą uliczką przechodził, była właśnie godzina konsumowania pary słodowej! W każdym oknie była twarz z otworzoną na rozścież gębą. W niektórych oknach było nawet ich po kilka. Mianowicie na jednym poddaszu wyglądała cała liczna rodzina, z otworzonymi ustami jak pisklęta w gnieździe. Zdaje się, że ubogi a przemyślny proletaryusz tym sposobem chciał karmić dzieci swoje!...

Stefuś stanął przed oknem, w którym otwierała się najpoważniejsza ze wszystkich gęba.

Należała ona do twarzy starzej i mocno pomarszczonей. Nos duży dzielił ją na dwie równe połowy; w górnych częściach osadzone były wielkie wypukłe oczy, które groziły co chwila upaść na ziemię; czoło było wysokie i grubemi fałdami wpoprzek pokrajane: włosów nie było widać z dołu.

Zaraz przed tą twarzą stał wypisany czarną farbą dosyć wielkich rozmiarów numer, którego właśnie szukał Stefuś.

Wszedł na pierwsze piętro. Na odgłos dzwonka wyszła służąca i na zapytanie Stefusia odpowiedziała, że „*Herr Rath*” jest w domu, ale dopiero za pół godziny może mu służyć.

Stefuś tymczasem zatrzymał się w małym gabinecie, który zavalony był książkami i różnemi sprzętami. Z gabinetu można było widzieć przez drzwi otwarte drugi,

obszerniejszy pokój, a który prawdopodobnie służył panu radzcy za salonik.

Ponieważ Stefus miał dosyć czasu, zaczął się więc rozpatrywać po mieszkaniu człowieka, który według inseratu, trzymał w swoich rękach miliony.

Rzeczywiście były ślady tych minionych milionów. Meble niektóre były palisandrowe, okryte grubą jedwabną materią. Drzewo było rzeźbione bardzo misternie. Niektóre rzeźby naśladowały widocznie średnie wieki i były zrobione z sumiennością, która niemieckich artystów charakteryzuje. Bogate starożytne zegary, obrazy w ciężkich ramach, jakieś graciki kosztowne, których przeznaczenia nawet Stefus nie wiedział, stare gobeliny i dywany tureckie, wszystko to zdawało się być ową smugą świetlaną, którą przeszły miliony!

Po godzinie stanęła przed nim ta sama twarz, którą widział był w oknie.

Był to sam „radzca”. Miał na sobie szlafrok z wypłowiałej jedwabnej materii w pasy liliowe i małą aksamitną czapeczkę na głowie. Był niski i dosyć dobrej tuszy, która jednak więcej wydawała się chorobliwą.

Radzca trzymał niejakiś czas wypukłe swoje oczy na twarzy Stefusia: Stefus uczuł lekkie drżenie po ciele, jakby stał w związku z elektryczną maszyną.

— Zapewne inserat mój sprowadza pana do mnie—ozwał się radzca.

— Tak jest—odpowiedział Stefus i wstrząsł się jakby od iskry elektrycznej.

Radzca patrzył jeszcze czas niejaki prosto w oczy Stefusia, a potem rzekł:

— *Gut mein Kind!*—Przedewszystkiém muszę panu powiedzieć, że nie jestem szalbierzem, nie podyktuję panu numerów na loteryę, ani w magnetyzm bawić się nie będę. Wyroki moje i rady gruntuję najprzód na doświadczeniach moich w świecie, i na znawstwie duszy i jej wszelkich przymiotów. Aby zaś na tém ostatniém polu należycie rozpa-trzyć się, potrzeba, abym choć dni kilka żył z człowiekiem w stosunku blizkim i poznał dokładnie zasoby jego organizacyi duchowej. Dlatego spędzimy razem trzy do pięciu dni w nieustanném towarzystwie, będziemy razem jeść i zabawiać

się, co ułatwi mi wejście w charakter pańskiego umysłu, ukrytych talentów i wrodzonych skłonności.

— Bardzo dobrze—odpowiedział Stefuś, któremu podobła się rzetelność Niemca.

— Zaczniemy od jutra!—zakończył posiedzenie radzca.

Następnych pięć dni byli obaj nierozzerwani towarzysze wszędzie razem: obaj jedli przy *tâble d'hôtes* w hotelu „zum römischen Raiser”, obaj siedzieli wieczorem w loży miejskiego teatru, obaj pili piwo w ogródkach i zjadali sławne frankfurtskie kiełbaski z chrzanem; rozmawiali przytém nieustannie. Mówili o każdym przedmiocie który im stanął przed oczyma, czy to był jaki uczony historyk, czy fertyczna *Nany* w bielutkim fartuszk. Stefuś musiał nawet swemu towarzyszowi opowiedzieć niektóre ważniejsze epizody życia, których tenże słuchał z największą uwagą.

A gdy już tyle dni minęło, ile właśnie potrzeba było Bogu na stworzenie świata, usiedli obaj w owym małym gabinecie przy ulicy Wałowej i długi czas w milczeniu na siebie patrzyli.

Potém odkrząknął były bankier i były radzca miejski i rzekł:

— Kiedym był tak młody jak pan teraz, nie miałem ani szeląga w kieszeni. Pisałem w kantorze kupca dziewięć godzin dziennie i za to zaledwie mogłem co zjeść dwa razy na dzień. Za lat trzydzieści nieustannéj pracy i oszczędności miałem już parę milionów!

— Milionów!—powtórzył Stefuś, a oczy jego zabłyszczały.

— Tak jest, milionów. Pewien dom handlowy w Ameryce, z którym miałem spółkę, zbankrutował a moje miliony poszły z wiatrem!

Radzca zrobił tu pauzę. Kilka smutnych wspomnień poświęcił milionom. Potém mówił dalej:

— Dzisiaj mam lat siedmdziesiąt, w takim wieku już się nie zbiera! Praca i oszczędność to kapitał młodości, starość to kapitał bez procentu! Wtedy żyje się tylko z kapitałem!

— Powiedziałeś pan, że praca i oszczędność to kapitał młodości.

— Tak, ale nie dla pana!

— Nie dla mnie?

— Nie. Dla nas Niemców praca i oszczędność to majątek, dla was, którzy mrówczej pracy nie znacie, którzy nie wiecie o tém, że każda kropla potu powinna jeden grosz przynieść; dla was, którzy tylko fantazyą żyjecie, praca i oszczędność są rzeczy niezrozumiałe! Dlatego w ogóle jesteście w upadku, a my wzrastamy w szerz i w górę!

Stefuś zasmucił się przy tych słowach, radzca uśmiechnął się i prawił dalej:

— Nie smuć się pan, mam i dla pana kilka recept. Widzę że pan nie obrałbyś sobie małej, zmuśnej, codzienniej pracy, aby tylko przyzwolicie żyć na świecie jak żyją miliony. U pana, między wszelkimi władzami umysłu, najsilniej jest rozwiniętą fantazyą! Ona prowadziła pana dotąd po wszystkich ścieżkach żywota, i ona może pozostać panu przewodniczką aż do kresu!... Czy mnie pan pojmujesz?

Stefuś skinął głową na znak przyznania.

— Dlatego przed panem są tylko takie drogi otwarte, na które fantazyą prowadzi i temi drogami pójdiesz pan aż do końca życia. Jeśli na téj drodze znajdziesz fortunę, to nie znajdziesz pan jéj pracą zmuśną, ale lekkim jak musujący szampan pomysłem, szybkim korzystaniem, genialną zręcznością z wydarzeń, które pana zaskoczą!

Stefuś zadumał się nad tą zbyt ogólną formułką życia. Radzca mówił dalej:

— Do takiéj lekkiej tyralierki życia powinieneś pan mieć nader lekki rynsztunek albo wcale żadnego, aby przy każdej sposobności móżdż się zastosować do wydarzeń. Jak żołnierzowi na tyralierce, często potrzeba będzie ukryć się za drzewo, położyć się na ziemi, lub ratować się ucieczką, aby w danéj chwili znowu się zjawić! Drobne zdobycze pomijać a godzić na wielkie!

— Nie mogę tego pojąć!

— Zaraz panu rzecz objaśnię. W krainie zwierząt uderzają nas głównie dwa rodzaje: jedne są wyposażone od natury wygodnym schronieniem, które albo ze sobą noszą jak ślimaki, żółwie i t. p.; albo nie mają żadnego domu ani pancerza, ale mają za to zwinność i przemyśl i nie tylko uchodzą zawsze przed grożącym niebezpieczeństwem, ale nawet lepsze od ślimaków i żółwiów gotują sobie schronienia

i legowiska!... Otóż i o ludziach to samo powiedzieć można: jedni mają małą ale bezpieczną skorupkę, w którą włożą i spokojnie trawią; inni nie mają jęj i muszą codziennie myśleć o tém, gdzieby się na chwilę odpoczynku położyć mogli. Ale jak ślimak ze swoją małą, choć bezpieczną skorupką zawsze tylko pełzać będzie i nigdy do wysokości orła albo innego ptaka się nie wzbije, tak i ludzie ci z małą swoją skorupką nigdy wysoko nie wyjdą! Będą wygodnie pełzać po ziemi i na noc kryć się w wygodną skorupę!

— Cóż ta skorupa u ludzi ma oznaczać?

— Skorupa ta oznacza ich mienie, majątek!

— Czyż majątek mógłby w tym względzie przeszkadzać?

— Majątek jest rzeczą względną. Dla jednego dziesięć talarów jest majątkiem, dla innego tysiąc, a dla trzeciego milion. Jeżeli człowiek z pretensją do tysiąca talarów ma ten tysiąc, to ma majątek z którego jest zadowolony. Skorupka ta jest dla niego wygodna, patrzy na świat z téj skorupki i uśmiecha się. Jeżeli zaś człowiek z pretensją do stu tysięcy talarów ma tylko, jak pan na przykład, siedm tysięcy w swojej torebce, to te siedm tysięcy nie tylko że nie są dla niego żadnym majątkiem, ale przeciwnie obciążają wszelkie kroki jego, jeżeli je za majątek chce uważać! Czyś mnie pan zrozumiał?

Stefuś długo myślał nad temi słowami byłego bankiera, ale dobrze nie mógł ich pojąć.

— Widzisz pan,—mówił dalej doradzca,—te siedm tysięcy talarów, gdybyś pan je za majątek chciał uważać, coż one mogą panu dać? Zaledwie kilkaset talarów procentu rocznie! Dla pana fantazyi i pretensyi jest to tak mała bagatelka, że nie wiem co byś pan z nią mógł uczynić! A zawadzać może panu niezawodnie. Jest to bowiem zawsze skorupka, do której w ostatecznym razie możesz się cofnąć i trochę przeleżeć. Ale leżąc w niej tracisz pan wzrok wyższy, uspakajasz się niejako i godzisz się z życiem ślimaka! Jeżeli zaś tego ślimaczego asyłu nie masz, jeżeli nie wiesz *co jutro będzie*, to musisz zawsze być w pogotowiu wywalczenia sobie tego „jutra,” a ta ciągła gotowość do walki i walka sama nada ci zwinność wiewiórki, że będziesz mógł skakać tam,

gdzie inni nie doskoczą i dojść aż do wyżyn, gdzie się orły gnieźdzą!

Stefusowi rozjaśniły się oczy, bo już trochę pojmował swego mistrza.

— W takim życiu *bez jutra*, — mówił dalej mistrz, — w ciągłej potrzebie starania się i myślenia o to *jutro*, rozwinięte twoje talenty, wzrok twój stanie się bystrzejszym, zwinność ruchów powiększy się; a gdy to wszystko będzie, możesz wtedy opanować pewną zdobycz, która wszystkie twoje pretensje zaspokoi!... A do takiego życia masz wszelkie warunki!

Stefus porównał w tej chwili słowa mistrza ze słowami ojca, który mówiąc o *jutrze* daleko inne wyobrażenie miał o niém! Wyobrażenia jednak mistrza więcej przypadły mu do smaku, bo w zasadzie już je praktykował od lat kilku, tylko na mniejszą skalę.

Pogłaskał więc bakenbardy i uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Zresztą, — pisał dalej mistrz, — postępując szerokim gościńcem życia, napotyka się różne rzeczy, które się skrupułami nazywają. Religia, wychowanie, tradycja starych obyczajów wtłaczają w nasz mózg niektóre odwieczne formułki życia, które nam czegoś robić nie każą bez żadnego racjonalnego powodu. A niepotrzebna ta tkliwość sumienia jest tak czasem w życiu niewygodna, że nawet Ojciec kościoła, święty Augustyn długi traktat o tém napisał. Otóż takie skrupuły wychodzą często na jaw z głębi duszy w człowieku, który ma jaką taką skorupkę życia! Ucieka on zawsze przed temi skrupułami do tej skorupki i zdaje mu się, że sumienie swoje ocalił! A on tymczasem tylko zdobycz z rąk wypuścił!... Otóż człowiek bez tej skorupki, człowiek, który walczy o swoje *jutro*, nie jest tklwym na takie złudne podszepty sumienia, i dlatego zajdzie dalej od tych, którzy policzeni być mogą do rodzaju mimozów! Inaczej bowiem walczy o chleb głodny, a inaczej syty!

Stefus uśmiechał się ciągle: marzył już o roli swojej.

— Dlatego radzę ci młody człowieku, — mówił dalej mistrz, — abyś się najprzód pozbył tego małego twego *jutra*, które masz w torebce, a które pragnień twoich nie zaspokoi. Pozbądź się jakimś sposobem. Możesz tentować for-

tunę i przegrać je w Homburgu, co niezawodnie nastąpi, bo maszyna zimniej oblicza niżeli człowiek, albo możesz je stracić krótkim a kosztownym życiem wśród świata, które da ci poznać proste i kręte jego drogi! A talent i zdolności masz do tego. Widać to z twoich oczu, z twego czoła. Znasz świat, masz ogłade lorda albo markiza, a z takim kapitałem nie przepadniesz! Wypłynąć możesz na wierzch i być tak wysoko, że wszyscy zazdrościć ci będą!

— Słowa te są wysokiej, praktycznej mądrości! — wykrzyknął Stefuś.

— Ale przedewszystkiem pozbądź się tej ślimaczęj skorupki, tych siedmiu tysięcy talarów!... Widziałeś pieska, którego na sznurku prowadzą? Jakaż różnica w muszkułach i w całej budowie od psa, który jest bez paska i wygod domowych, i który sam starać się musi o jado! Widziałeś kiedy skoki jednego i drugiego?... Otóż niech cię nie trzymają na pasku te kilka tysięcy talarów! Urwij ten pasek i stwórz sobie sam potrzebę starania się o *jutro*!... Głód i potrzeba dodaje odwagi, a do odważnych świat należy!

To jest jedyna droga dla ciebie, droga bez mrówczej pracy, do której nie masz żadnych zdolności!...

Kiedy mistrz tych słów domawiał, nastąpiła właśnie godzina oddychania parą słodową.

Po załatwionym za te rady rachunku pożegnali się obaj.

Były bankier poszedł do bezpłatnego używania aromatu z gotowanego jęczmienia, a Stefuś wyszedł na ulicę z głową pełną marzeń i przyszłych planów życia!

A myślał także jakby to w najlepszy i najprzyjemniejszy sposób pozbyć się swego *jutra*, które właśnie niósł w torbie, a o którym ojciec jego tak maluczkie miał wyobrażenie!...

KONIEC TOMU IGO.

